



AUTOR BESTSELLERÓW O ŚWIADKU KORONNYM MASIE

**ARTUR
GÓRSKI**

Albo zabijasz,
albo sam
stajesz się
celem

Cyngiel

Egzekutor polskiej mafii

**ARTUR
GÓRSKI**
Cyngiel

Text copyright © by Artur Górski, 2017

Copyright © by Burda Publishing Polska Sp. z o.o., 2017

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Redaktor prowadzący: Marcin Kicki

Redakcja: Redaktoria.com

Korekta: Redaktoria.com, Maria Osińska (eKorekta24.pl)

Redakcja techniczna: Mariusz Teler

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: ostill/Shutterstock

ISBN: 978-83-8053-226-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.burdaksiazki.pl

Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

virtualo

SPIS TREŚCI

Od autora

Prolog

Trybiki nie głosują

Zlecenie na głowę Artioma

Trzy koła papy

Lustrzane odbicie

Siedmiu obok beczki

Najpierw rozmowa, potem las

Gdy skacze ciśnienie

Gdy odpuszczasz, okazujesz słabość

Kozacy ze Wschodu

Lepiej, gdy cyngiel ma współnika

Romantyczne światło semafora

Ciastko z niespodzianką

Jak wojna, to wojna

Kostucha ma najszybsze porsche

Kiedy pestki tracą moc

Amator z wilgotną amunicją

Trzeba stworzyć gangsterską ekstraklasę

Sex on the beach

Sprzęt miał czekać w Hamburgu

Pytanie: Bóg go zabił czy on sam się zabił?

Nie czas żałować dywanów

Ogon na autostradzie

Rabin chce zgarnąć całą pulę

Wyglądała jak modelka

Prawda jest taka, jaką ogłosi sąd

OD AUTORA

Bohater tej książki, gangster o pseudonimie Czerwony, nie istnieje, a jednak... istnieje. Jego historia to kolaż podobnych zdarzeń, które rozegrały się w polskim półświatku kryminalnym. Zdarzeń najcięższego kalibru, z udziałem mafijnych zabójców.

Jako dziennikarza śledczego zawsze interesował mnie ponury temat gangsterskich porachunków i egzekucji. Wprawdzie wojna pomiędzy grupami przestępczymi, która przetoczyła się przez Polskę w ciągu ostatnich dwudziestu lat, pochłonęła wielką liczbę ofiar, jednak mogło być ich znacznie więcej, gdyby kilerzy wykazywali się większym profesjonalizmem. Na szczęście wielu z nich nie nadawało się do tej wstrętnej roboty i wracało z miejsca egzekucji bez „łba” na koncie. Raz zawodziła broń, innym razem umiejętności strzeleckie, jeszcze innym – kiepskie rozeznanie w terenie.

Opowieść o Czerwonym została zainspirowana takimi właśnie nieudanymi egzekucjami – ci, którzy interesują się historią rodzimej kryminalistyki, rozpoznają zdarzenia relacjonowane swego czasu przez media. Oczywiście nie wszystkie spartaczone roboty trafiły do mediów – o niektórych dowiedziałem się podczas dziennikarskich spotkań z byłymi przestępcami. Jeśli wydały mi się na tyle interesujące bądź kuriozalne, by o nich wspomnieć, stały się również – oczywiście w nieco zmienionej formie – udziałem mojego bohatera.

W tym miejscu chciałbym podziękować wszystkim, których opowieści wzbogaciły moją wiedzę na temat mafii. Szczególnie przyczynili się do tego: Jarek, Rafał, Konrad, Artur, Szymon i Adam, a także wielu innych. Jeśli *Cyngiel* ma jakąś wartość dokumentalną, to głównie dzięki nim.

Niektóre postaci występujące w *Cynglu* także są wynikiem inspiracji osobami z rodzimego świata przestępczego, ale w na tyle luźnej formie, że należy je traktować wyłącznie jako bohaterów fikcyjnych.

Dlatego powieść ta, choć mocno osadzona w kryminalnych realiach III RP, należy do gatunku beletrystyki i nie należy jej traktować jako literatury faktu. A już na pewno nie jako dowód czy poszlakę w postępowaniach karnych.

Najchętniej określiłbym ją jako pozycję z gatunku „beletrystyka faktu”, ale po pierwsze taka kategoria nie istnieje, a po drugie nie ma sensu puszczać oka do czytelnika, że to wszystko prawda i tylko prawda, tyle że zawoalowana, by autor mógł uniknąć ewentualnych kłopotów.

Z całą pewnością *Cyngiel* to powieść z kluczem – kto będzie chciał się w niej doszukać autentycznych ludzi i zdarzeń, doszuka się. Jeden doszuka się tego, inny owego. A prawda będzie jeszcze gdzie indziej. Ważne, żeby obaj czytelnicy byli zadowoleni. A ja i tak się publicznie wyprę, że miałem na myśli konkretną osobę.

Może w prywatnej rozmowie przyznałbym, jak było naprawdę, ale do takiej rozmowy musiałoby dojść. A któremu czytelnikowi chce się szukać autora?

PROLOG

Biegnę za nim, a on wie, że jestem tuż za jego plecami. Ale się nie poddaje – ucieka na tyle szybko, że nie jestem w stanie złapać go za ramię. To oczywiście nie jest jakieś zawrotne tempo, zupełnie jakbyśmy przemierzali basen z kisiem, ale mój oddech wyraźnie przyspiesza. Powoli tracę siły.

Tyle że ja nie muszę go łapać za ramię – mam w kieszeni pistolet i za chwilę go użyję. To dlaczego do tej pory jeszcze tego nie zrobiłem? Przecież wystarczy wycelować i wypalić – gość jest o kilka kroków przede mną, nawet dzieciak nie miałby trudności z trafieniem.

Problem w tym, że ja nie mogę wydobyć „komina” z kieszeni płaszcza. Płaszcz jest w kolorze rdzy. Facet jest ubrany w czerwoną kurtkę, która ledwie zakrywa mu plecy. Ale kolory są tu bez znaczenia...

Nie mogę wydobyć pistoletu, bo lufa zahacza o kieszeń. Dali mi lugera P08 parabellum – starego grata z czasów II wojny. Nie jestem pewien, czy w ogóle jest sprawny i jak w końcu go wyciągnę, to czy wystrzeli. Dlaczego nie dostałem glocka albo sig sauera? Przecież jak ten gość zorientuje się, że dysponuję lugerem, to umrze ze śmiechu...

Wszystko jedno, niech sobie będzie luger, tylko niech go w końcu wyciągnę z tej pieprzonej kieszeni. Zamiast zrobić to, co trzeba, ja się szarpie z pistoletem, tracę siły, a tymczasem facet włączył trzeci bieg – odskoczył ode mnie na kilkanaście metrów. Będzie mi jeszcze trudniej go dopaść. Oczywiście jeśli w porę wyciągnę broń, szybkie nogi mu nie pomogą – pestki parabellum wyślą go w zaświaty.

No ale ja ciągle nie mogę strzelić – ten pieprzony pistolet chyba skleił się z kieszenią...

I gdy facet zaczyna znikać mi z oczu, z bocznej ulicy wyjeżdża ciężarówka i centralnie uderza w niego. Pada na jezdnię, a ja się zatrzymuję – ktoś wykonał za mnie moje zlecenie. Najwyżej strzelę mu w łeb dla formalności – ofiara zostanie mi zaliczona.

Ale wtedy on wstaje i jakby nigdy nic biegnie dalej.

Kurwa!

Budzę się cały spocony, a on biegnie dalej.

Choć wiem, że to sen, zamierzam go dalej ścigać...

TRYBIKI NIE GŁOSUJĄ

Nie pytaj mnie, czy wierzę w Boga. Albo – dlaczego w niego nie wierzę. Tak po prostu jest i tyle. Jedni wierzą, inni nie wierzą. Jedni mają sińce na kolanach od klęczenia w kościele, inni zdzierają sobie gardło, krzycząc, że Bóg nie istnieje. Ja nie należę do żadnej z tych kategorii – nie jestem ani fanatykiem religijnym, ani wrogiem Kościoła. Mam swoją drogę, która prowadzi w zupełnie innym kierunku, i mam w dupie to, że ludzie potrafią się zabijać o jakieś tam wierzenia. Można się zabijać o hajs, o kobietę, o szacunek... Ale żeby się zabijać o to, że ktoś wierzy w jakieś niebo, a ktoś inny to neguje? Kurwa, to przecież śmieszne...

Powtarzam: ja w Boga nie wierzę. Nie wierzę, ale to nie znaczy, że odrzucam możliwość istnienia jakiegoś większego, czy może: ważniejszego, bytu, który jest tam gdzieś ponad nami i rządzi całością.

Nie uważam, że jesteśmy tylko my, ludzie mieszkający na ziemi, otoczeni jakąś czarną dupą, do której spadamy i rozplywamy się jak masło na patelni. I koniec pieśni.

Owszem, czarna dupa jest, ale ona też z czegoś wynika.

Jestem pewien, że ponad nami istnieje jakaś może nie siła, ale inteligencja, która steruje całym tym burdelem. Powiedzmy, że wierzę w jakiś wyższy porządek; w jakąś logikę, która powoduje, że czarne jest czarne, a białe – białe. W logikę, która uzasadnia to, co się tu wydarza, i która robi porządek, jeśli te wydarzenia zmierzają w złą stronę.

Generalnie nie lubię filozofować, bo od tego robią się odciski na mózgu, ale czasami nie ma innego wyjścia. Szczególnie jeśli siedzisz w małym pokoju z czterema takimi samymi jak ty herbatnikami i jakimś cudem nie jesteście w stanie otworzyć drzwi. Wszyscy macie na tyle wysokie wyroki, że nie ma co liczyć, że zaraz pójdziecie do domu, więc trzeba jakoś sobie organizować ten nadmiar czasu wolnego. Jak długo możesz robić pompki? Jak długo możesz męczyć kabla? Jak długo możesz leżeć na koju i tępo gapić się w niebo przez żelazne firanki?

Czasami można, a nawet warto pomyśleć, zastanowić się nad życiem i tym, co po życiu. Bo to, chuj wie kiedy, może się przydać... Człowiek musi znać odpowiedzi na trudne pytania, nawet jeśli to on sam je sobie zadaje.

Kiedy tak leżysz na koju i akurat kabel cię nie swędzi, zaczynasz kombinować: jak to się stało, że jestem tu, a nie gdzie indziej? I nie chodzi o to, dlaczego leżysz pod celą, bo akurat odpowiedź na to pytanie dał ci najpierw prokurator, a potem sędzia, tylko o to, co w ogóle robisz na świecie. Na cholere w ogóle zostałeś powołany do życia i dlaczego poszedłeś taką, a nie inną drogą. Jeśli wierzysz w Boga, w którego ja nie wierzę, to walisz się w piersi i błagasz o wybaczenie. Bo masz poczucie, że zrobiłeś coś bardzo złego i nie dość, że ukarano cię na ziemi, to jeszcze czeka cię nieprzyjemna dogrywka w zaświatach.

Jakieś piekło, jakiś upierdliwy czyściciel, jakieś głosy potępienia.

A jeśli, tak jak ja, wierzysz w najwyższą logikę, to nie pękasz, bo wiesz, że wszystko dzieje się według gdzieś tam ustalonego planu. Zostałem przestępcą, bo ktoś nim zostać musiał – jeden jest piekarzem, drugi klawiszem, trzeci baletmistrzem. Opcji są miliony, dla każdego coś miłego...

Dla mnie na przykład została napisana rola gangstera – czy tego chcę, czy nie – i ja się na to godzę. A nawet jeśli coś tam się we mnie buntuje, to umiem sobie wytłumaczyć, że kim innym po prostu nie umiałbym być. Jako lekarz, któremu ta logika nie napisała roli lekarza, narobiłbym jeszcze więcej szkód niż jako gangster. Każdy musi znać swoje miejsce w życiu. Zdarza się oczywiście, że zmieniasz skórę i nagle z przykładowego urzędnika stajesz się alfonsem, ale to też nie jest przypadek – tak widocznie zostało gdzieś postanowione. Gdzie jest to „gdzieś”? Gdzieś... Ja tego nie wiem, ty tego nie wiesz, być może nigdy się nie dowiemy. A po śmierci już w ogóle nie będzie nas to interesowało, bo spadniemy do czarnej dupy. Spadniemy, bo za naszą obecność na świecie wrzucono tyle a tyle żetonów i kiedy przestają działać, nikt już nie dorzuca kolejnych. Wypad!

Dlatego nie ma co się martwić, że tak zwani porządni ludzie uważają nas – przestępców – za wyrzutki społeczeństwa. Jesteśmy tym, na kogo się urodziliśmy. Tak samo profesorowie nie powinni się nadmiernie puszyć swoimi tytułami i mirem – gdyby ktoś im nie wyznaczył takiej roli, byłiby zwykłymi gównojadami i o szacunku mogliby tylko pomarzyć.

Czy to znaczy, że świat jest niesprawiedliwy? Człowieku! A co to jest sprawiedliwość? Czy wiesz, ilu chłopaków niewinnie leży w chliwie na mocy tak zwanych sprawiedliwych wyroków? Bo ktoś się pomylił, bo ktoś pomówił, bo ktoś miał zły dzień...

Ale to jeszcze nie znaczy, że sprawiedliwość jest niesprawiedliwa. To nie jest tak, że wszystkie wybory i decyzje są dobre – żyjemy w niedoskonałej rzeczywistości i ten, kto to zaakceptuje, jest wygrany.

A poza tym od kiedy to trybiki zastanawiają się nad tym, czy machina służy dobrej sprawie? Trybiki mają zapierdalać i nie głosować!

Ja jestem trybikiem. Ty też. Oni też.

I tak jest dobrze...

ZLECENIE NA GŁOWĘ ARTIOMA

Kiedy szef powiedział, że trzeba odjechać Artioma, byłem spokojny – żaden ze mnie kiler, więc mnie to nie dotyczyło. Na Artioma znajdzie wielu chętnych, bo to wyjątkowa ruska menda i wpierdala się w nasz biznes, jakby był u siebie.

Nie można dać zlecenia innemu Ruskiemu – choć Ruski zrobiłby to z sanitarną precyzją, po cichu i bez świadków – bo wiadomo, swój swego nie ruszy. Albo ruszy, tylko że będą z tego kłopoty...

Ale na mieście jest tylu sprytnych chłopaków, spragnionych mołojcekiej sławy, że wystarczy dać „kopyto” jednemu z nich i Artiom zaraz poleci do tego swojego prawosławnego Boga.

Ja miałem swoją robotę: rozrzucąłem prochy dla Gorzkiego i w ogóle nie zajmowałem się, jak by to powiedzieli wojskowi – taktyką. Oczywiście, nosiłem pistolet, bo każdy z nas nosił, ale akurat w mojej działce był niepotrzebny, a jeśli już, to raczej dla lansu. No, w ostateczności przy odzyskiwaniu długów, ale takie sytuacje zdarzały mi się wyłącznie od święta.

Gorzki był podpięty bezpośrednio pod Korala – niektórzy mówili na niego Złoty Koral – szefa wszystkich szefów w naszym mieście. Znali się z dawnych czasów, w latach osiemdziesiątych leżeli razem pod celą i grypsowali. A takie wspólne przygody bardzo ludzi zbliżają. Potem ich drogi się rozeszły, choć jak wyszli z puszki, wrócili do działalności przestępczej. No bo niby do jakiej innej mieli wrócić? Jak jesteś w czymś dobry, to to rób, a nie udawaj jebanego Mahatmę Gandhiego. Nie szukaj szczęścia tam, gdzie go nie ma. Krótko i na temat!

W każdym razie Koral wyskoczył wysoko i od razu przygarnął Gorzkiego, który kręcił jakieś drobne lody na dzielnicy. Wspiął się na głównego mustafę od dragów i zaczął zarabiać fajny hajs dla Korala.

Wracając do mnie – latałem u Gorzkiego i nawet nie przyszło mi do głowy, że mógłbym kogoś zdjąć. Nie moja bajka, nie moja para kaloszy. Psy też wiedziały, że ja się do tej roboty nie nadaję, więc jak wypływała sprawa jakiegoś zabójstwa, nikt nic do mnie nie miał. Co najwyżej dwa, trzy pytania, co wiem o sprawie i czy znałem ofiarę.

„Znałem, co miałem nie znać? Szkoda chłopą” – odpowiadałem i mogłem wracać do domu.

Na mieście mówili: „Czerwony nie umie nawet trzymać kopyta. Łapie za lufę, bo myśli, że pestka wyskoczy przez kolbę. No bo przecież naboje są w kolbie”. Ja się z tego śmiałem, choć powinienem się obrazić. Ale ja jestem wesoły chłopak i się nie napinam.

Wiem, jak się trzyma komin, i na strzelnicy szło mi nie gorzej niż najlepszym kozakom. Tyle że nigdy nie byłem wrywny do łapania za broń – można się dogadać bez straszenia nią. A poza tym, jak ty wyciągniesz komin, to

druga strona może zrobić to samo. A jeśli on lepiej strzela? A jeśli jego pestki są ostrzejsze?

Naprawdę, życia nie można marnować na umieranie. Jest tyle pięknych beemek do zajezdzenia i tyle ekstralasek do popchnięcia, że aż grzech kłaść się do trumny, kiedy wszystkie atrakcje tego świata pchają ci się w łapy.

I zawsze to wszystkim powtarzałem, a wszyscy pytali: „To co z ciebie za gangus?”.

A ja im na to: „Mądry...”.

Więc kiedy Koral powiedział, że jest zlecenie na Artioma – bo to nie tylko Koral chciał się go pozbyć, ale i szefowie grup z innych miast – pomyślałem sobie: „Mnie nie bierze pod uwagę, pewnie wyśle Aleksa. Albo Rudego. Oni mają już głowy na koncie i nie trzeba będzie ich do tego namawiać. Pyk, pyk i po wszystkim. I na stypę”.

Zresztą Aleks już od pewnego czasu powtarzał: „Jak ktoś nie odpali tej kurwy mendy, to ja się za niego zabiorę”. Ja wiem, że przy chłopakach różne rzeczy się mówi, a po wódzie każdy wydaje wyroki śmierci. Ale Aleks to był naprawdę ostry kot i Koral mógł na niego liczyć.

Żeby było jasne: Artiom nie zawsze był mendą. Jak do nas przyjechał, wydawało się, że będzie git. Na początku pomógł nam zarobić kilkadziesiąt koła papieru. Pchał dla nas amfę na Wschód – miał poukładanych celników i wielkie rynki zbytu.

W ogóle dostaliśmy go od pruszkowskich. Coś tam nawywijał u siebie w kraju i musiał iść na wystawkę, bo mu psy deptały po piętach. A że znał paru chłopaków z Pruszkowa, jeszcze z czasów komuny, to oni go wzięli pod skrzydła. Ale tam u nich był za bardzo na widelcu, dlatego zaproponowali, żeby doskoczył do nas – zawsze to kilkaset kilometrów od stolicy.

Przyjechał, zresztą ze swoimi chłopakami, i zaczął z nami działać. Jak pchał naszą fetę do Ruskich, wszyscy go chcieli całować po rękach. Kiedy jednak powiedział, że przejmuje kontrolę nad kilkoma naszymi burdelami, to zazgrzytało. Koral próbował to z nim rozkminić, ale Artiom poczuł się mocny i zaczął dojeżdżać Korala. I nie tylko jego – kozaczył po całej zachodniej Polsce i wchodził w cudze interesy. W końcu to przestało być śmieszne.

Dlatego Aleks cały czas powtarzał, że kurwę trzeba odjechać.

I kiedy myślami byłem już na ulicy i zastanawiałem się, czy jutro przyjedzie z Warszawy dostawa amfy, usłyszałem:

– Artioma odjebie Czerwony.

Zdrętwiałem...

TRZY KOŁA PAPY

Nie chciałem o tym rozmawiać przy wszystkich. Udałem, że ta propozycja – a raczej: polecenie – nie zrobiła na mnie wrażenia. Powiedziałem tylko:

- Możemy o tym pogadać, ale na osobności.
- Kogoś się wstydzisz? – zdziwił się Koral. – Tu są sami swoi.

Nie mogłem przecież przyznać się przy wszystkich, że pękam i chcę się wydygać.

– Nikogo się nie wstydzę – odparłem – ale odjebanie frajera to nie jest zapinanie dupy od tyłu, tylko poważna sprawa. O tym się nie gada przy wszystkich.

Podejrzewam, że te słowa wzbudziły szacunek, przynajmniej niektórych. Nie kozaczyłem, nie spękałem na starcie, tylko chciałem rzetelnie omówić temat.

Dlatego Koral polecił wszystkim, oprócz Gorzkiego, żeby poszli w pizdu, i zostaliśmy w trzech. Ale wtedy już nie udawałem kota, tylko za wszelką cenę starałem się wyślizgać z tego zlecenia.

- Czemu ci nie pasi? Ktoś musi mendę odjebać! – powiedział Koral.
- Bo ja jeszcze nie mam łba... – odparłem.
- Zawsze musi być ten pierwszy raz. – Gorzki uznał, że powinien się włączyć do rozmowy jako mój bezpośredni szef, czyli osoba odpowiedzialna za mnie przed Koralem.

– Ja rozrzucam prochy, a nie zabijam – wyjaśniłem.

– Nie ma w grupie czegoś takiego jak specjalizacja, to nie jest jakieś jebane ministerstwo – zdenerwował się Koral. – Jak trzeba kogoś odpalić, to się to robi. Jesteś przestępcą, a nie księdzem dobrodziejem. Artiom nam bruździ i my się musimy go pozbyć. Tobie też dziwka bruździ, co ty sobie myślisz, że twoje interesy to jakiś rezerwat przyrody?

– Wcale nie, po prostu wiem, że do odjebania takiego gościa trzeba prawdziwego kota. A ja jestem dobry tylko na strzelnicy. Na ulicy jeszcze tego nie robiłem.

Koral pomilczał przez chwilę, spojrzął na mnie spode łba zupełnie jak Marlon Brando w *Ojcu chrzestnym* i zaczął wyklądać swoje racje:

– Właśnie o to chodzi, że nikogo nie odjebałeś i psy nigdy cię z tym nie powiążą. Nie mogę wysłać Aleksa, bo cały czas pierdoli po mieście, że już się wrywa na Artioma. A ja takich „trzymaście mnie w pięciu, bo zabiję dziesięciu” do takiej roboty nie potrzebuję. Podejrzewam, że prędzej Artiom zdejmie Aleksa niż odwrotnie. Ruski też swój rozum ma i wie, kto się zasadza na jego łeb. Powiem ci tak: zrobisz to dla grupy, nie masz innego wyjścia...

– A nie prościej ściągnąć jakiegoś cyngla z innego miasta, na przykład ze Śląska? – nie dawałem za wygraną.

Koral uśmiechnął się cynicznie.

– Widzisz, cyngiel na gościnnych występach ma swoją cenę...

– A to niby ja mam strzelać za friko? – Udałem wkurw, a zresztą nie musiałem specjalnie udawać, bo faktycznie coś we mnie zabulgotało.

– No przecież nie dam ci takiego hajsu, jaki się płaci zawodowcowi. To jasne, nie? Ty jesteś spec od prochów i na tym kosisz ostrą kasę. Jako kiler dopiero zaczynasz. – Widząc rozżalenie w moich oczach, Koral od razu dodał: – No ale przecież, kurwa, za darmo tego nie zrobisz. Powiedzmy dwa koła papieru, pasuje?

Hmmm, dwa tysiące dolarów to była żadna stawka jak za łeb, szczególnie takiego „grubasa” jak Artiom, ale znałem wiele przypadków, kiedy cyngle nic nie dostawały – zabijały, bo grupa to na nich wymusiła. Prawdę mówiąc, w polskiej mafii to był standard – kiler strzelał, a jedyne, co z tego miał, to świadomość, że jest wdupiony po uszy. I że ktoś prędzej czy później rozpruje się na niego. A prokurator nie będzie brał pod uwagę tego, że gość został zmuszony do egzekucji – wchodząc na drogę przestępstwa, miał świadomość, co go czeka i jakich zadań będzie się musiał podejmować. Tyle.

Dlatego tak bardzo nie chciałem przyjąć tego zlecenia i postanowiłem chwycić się ostatniej deski ratunku:

– A może by go podać psom? Przecież to żaden problem. Trochę posiedzi u nas, potem wyślą go na Wschód i rozplynie się jak sen złoty.

Ale Koral pokręcił głową z dezaprobatą. Tym razem było w nim więcej z Roberta De Niro niż z Brando.

– Tu chodzi o lekcję na przyszłość. Miasto musi pokazać Ruskim, że samo załatwia swoje sprawy i nie potrzebuje wsparcia psów. Jeśli Ruski chce tu robić interes, to ma przestrzegać reguł gry, które my dyktujemy. Jak z nami zadrze, to nie może się spodziewać rozkminiek i negocjacji. Pestka w łeb i do piachu...

Wtedy ostatecznie zrozumiałem, że nie mam co się dłużej opierać – grupa uznała, że to ja muszę odpalić Artioma, a jeśli tego nie zrobię, będę miał kłopoty. Jakie? Tego nie wiedziałem. Wiedziałem jedno: temat Artioma to była dla Korala sprawa życia lub śmierci. Czyjej śmierci? Nawet nie chciałem się nad tym zastanawiać. Wyjąkałem tylko:

– Trzy koła papy.

A on sprostował z uśmiechem na ryju:

– Nawet cztery. Pasuje?

Nie, zupełnie mi to nie pasowało, ale pokiwałem głową – za taką sumę zostałem zawodowym zabójcą. Na razie teoretycznym, takim, który przyjął zlecenie.

Następnie Koral przedstawił mi najważniejsze szczegóły – odpalę Artioma z walthera P5, który trafił do Polski z Berlina. Tam już był trefny, bo jacyś Turcy strzelali z niego do innych Turków albo Serbów, a u nas czekał go dopiero debiut. Nie jest to może jakieś szczególnie doskonałe kopyto, ale swoje zrobi, bez obaw.

Po egzekucji broń zostanie zlikwidowana. Miejsce akcji – najbliższa okolica jednego z poznańskich hoteli, gdzie Artiom często spotyka się z kontrahentami. Można go wprawdzie zastrzelić w jakimś bardziej ustronnym miejscu, ale chodzi o efekt propagandowy – niech wszyscy wiedzą, że niechcianych gości wysyła się u nas z przytupem. Poza tym akurat tam Artiom nie będzie się spodziewał spotkania ze śmiercią.

Choć na pewno, generalnie, jest przygotowany na taką okoliczność...

LUSTRZANE ODBICIE

Tej nocy miałem ten sen, o facecie, którego mam zastrzelić, a nie mogę wydobyć „komina” z kieszeni. Co tu dużo gadać, to zlecenie (nie wiem, czy zlecenie to właściwe słowo – lepiej pasuje „rozkaz”) wytrąciło mnie z równowagi. Na pewno bardziej, niż sądziłem...

Ale jeśli ktoś uważa, że po wyjściu ze spotkania z Koralem zaczęły mnie dręczyć jakieś moralne rozterki, że opadły mnie jakieś wątpliwości i histeryczna drżączka – myli się. Owszem, skłamałbym, mówiąc, że spłynęło to po mnie jak woda po kacze, bo jednak zabić to gruby temat, chociaż nie żebym jakoś się rozczulał nad losem Artioma. Po prostu miałem typową debiutancką tremę – tak to jest, kiedy się pociąga za spust, a potem facet pada i jest już na wieczność zimny. I to ja go na tę wieczność schłodziłem.

Ale robota to robota – trzeba ją szanować bez względu na to, jaka jest. Nie zostałem księdzem ani dyplomata, więc muszę być przygotowany na wszystko, co robi gangster. Kurwa, ilu to złodziejasków samochodowych wysyłano ze sprzętem na ludzi, ilu pospolitych włamywaczy ma na koncie łeb!

Za robotę jest pieniądz, a pieniądz też trzeba szanować. Jak mawiał pruszkowski boss Pershing: „Jeżeli ty nie szanujesz pieniądza, to pieniądz nie szanuje ciebie”. Jasne i proste, mądry chłop.

Nie ma znaczenia, czy zabijasz, czy murujesz domy – tu i tu trzeba się do roboty przyłożyć i wykonać ją jak najlepiej. I z szacunku dla siebie samego, i w jakimś sensie z szacunku dla tego, kogo odpalasz. Nie to, żebym tę ruską mendę jakoś specjalnie chciał uszanować, ale jak już mu wyjębię tych pięć pestek – nie wiem, dlaczego przyszła mi do głowy akurat taka liczba – to niech, kurwa, nie żyje. Nie chcę spierdolić akcji i zostawić go żywego z flakami na wierzchu, konającego przez dwa następne dni. Ma być skutecznie i błyskawicznie.

Za to mi płacą, a pieniądze trzeba szanować.

Wstałem z łóżka i powlokłem się do łazienki – w lustrze zobaczyłem odbicie człowieka, który jakoś zupełnie nie pasował mi na cyngla. Niespełna czterdziestolatek, o chudej, pociągłej twarzy, z rudymi kręconymi włosami. Stąd ksywka Czerwony. Wory pod oczami to nie był jedynie rezultat poprzedniego wieczora – w samotności wychlałem flaszkę jacka daniel’sa, choć z reguły pijałem lepsze trunki – ale ogólnego zmęczenia. Ja naprawdę ciężko pracowałem, choć ktoś może powiedzieć, że handlowanie prochami to żadna praca. Kurwa... Tak to może jakiś byle profesorek powiedzieć, który pierdzi w katedrę, czy jak się tam to jego krzesło nazywa. Prochy to naprawdę harówa, tym bardziej że popyt jest coraz większy. Im więcej w gazetach piszą, jakie to są szkodliwe, tym bardziej ludzie

chcą je brać. Przekorny naród.

Ale nie będę opowiadał o prochach, bo to zupełnie inna bajka.

W każdym razie w moich własnych oczach zupełnie nie przypominałem kilerka. A już w jakimś sensie nim byłem.

Miałem tylko czekać na sygnał, że broń już jest w mieście – bo szła ze Śląska – i że znaleziono pomagiera, który mnie zawiezie na miejsce. Plan był taki, że pod hotel podwiezie mnie jakiś facio, który zna się na sportowej jeździe, ja zrobię swoje i od razu damy nura. Nie wiem czemu, Koralowi zależało, aby kierowca nie był żadnym moim znajomym. Po prostu łączy nas jedno zadanie, a potem zapominamy o sobie.

Takie to proste – zapomnieć o gościu, z którym wspólnie się odjechało Artioma!

Pewnie Koral widział taką akcję na jakimś filmie – on za dużo gapi się w telewizor. W końcu fikcja popierdoli mu się z prawdą.

Ale to nie moja sprawa – pan płaci, pan wymaga...

Dwa dni później zadzwonił do mnie facet, który przedstawił się jako Jacek Kowalski. Tak naprawdę od razu skumałem, o co chodzi i że na pewno nie jest to żaden Jacek, ale udałem zdziwienie i spytałem, czy to na pewno nie pomyłka. A on, że dzwoni w sprawie remontu i że musimy razem pojechać do mieszkania. Tam już czeka jakiś pieprzony majster – jest umówiony z nami na konkretną godzinę.

Nie zadawałem więcej pytań, bo jeśli ktoś przez przypadek słuchał tej rozmowy – a psy lubią czasem sobie posłuchać – to każda następna wymiana zdań musiałaby wzbudzić czujność „ucha”.

Jacek powiedział, że będzie czekał na mnie na stacji benzynowej Shell, za dwie godziny. Chciałem go zapytać, czy ma ze sobą sprzęt, ale najwyraźniej mnie wyczuł, bo rzucił krótko: „Mam wszystko, co trzeba” – i się rozłączył.

Do Poznania były jakieś trzy godziny jazdy, więc przez chwilę się zastanawiałem, czy nie zabrać jakichś ciuchów, na wypadek gdybyśmy musieli tam przenocować. Ale uznałem, że myślę delegacje – jak już uda mi się odjechać mendę, to będziemy spierdalać gdzie pieprz rośnie, a noc z pewnością spędzę w swoim własnym łóżku. Albo na dołku, jeśli będę miał pecha.

Była dziesiąta rano – o dwunastej ruszymy spod Shella, przyjedziemy na miejsce pewnie koło trzeciej i kopniemy się pod hotel. Poczekamy, aż wyjdzie na parking, i pewnie tam go wyślemy do piekła. A potem się zwiniemy. No, pod warunkiem, że nie trzeba będzie trochę za nim pojeździć... Tak czy inaczej, nie będę nocował w Poznaniu. Chyba że w areszcie...

O umówionej porze stawiałem się na Shellu. Od razu wiedziałem, które auto

należy do Kowalskiego. A niby kto inny mógł przyjechać czarnym porsche 911? Kurwa, czy oni nie myślą? Przecież jak tylko wjedziemy do Poznania, to cała psiarnia w tym mieście zacznie robić szum! Zupełnie jakby na drzwiach auta ktoś przykleił reklamę: „AAAAA płatny zabójca oferuje usługi”.

Ale jak zobaczyłem, że furka jest na niemieckich blachach, trochę się uspokoiłem, bo było jasne, że porsche jest „ciepły” i pewnie po robocie albo pójdzie na żyletki, albo trafi gdzieś na Wschód...

Kierowca kiwnął na mnie ręką i wskoczyłem do środka. Przybiliśmy piątki.

– Ty jesteś Czerwony – bardziej oznajmił, niż zapytał.

– A ty jesteś niby Jacek – odparłem. Zaśmialiśmy się.

– Jestem Nino – rzucił.

– Taka włoska ksywka?

– Tak, bo wyglądam na Włocha.

Popatrzyłem na niego – faktycznie przypominał gościa z Południa, ale bardziej Cygana niż Italiańca: krótko ostrzyżone czarne włosy, śniada cera i minimalistyczna bródka pod dolną wargą. Ubrany w białą koszulę, obowiązkowo rozpiętą na klacie na trzy guziki, żeby było widać pół kilo złota.

– Dokąd jedziemy? – spytał z szelmowskim uśmiechem, kiedy już rozpędzał się na wylotówce.

– Może, kurwa, do jakiegoś parku, na spacer? Albo do baru na kawkę? – Głupie pytanie, głupia odpowiedź. Normalka.

Pokiwał głową. Po chwili wskazał palcem na schowek naprzeciwko siedzenia pasażera.

– Luknij na sprzęt.

Wyciągnąłem ze schowka kopyto i przez chwilę gapiłem się w nie, jakbym chciał dostrzec coś, czego inni nie dostrzegli. Ale żadna profesjonalna uwaga nie przychodziła mi do głowy, więc tylko rzuciłem krótko:

– Z takim złomem na ludzi?

– Nie taki znowu złom, ważne, że sprawny.

– A pestki? Tylko tyle co w magazynku?

– A ty co, kurwa, na front wschodni się wybierasz? – zaśmiał się Nino. – Osiem naboí ci nie wystarczy?

– Osiem to mało. A jak chuj da w długą? Nikt nie powiedział, że się ustawi jak do rodzinnej fotografii...

– Się nie bój. Mam jeszcze pudełko. Możesz sukę nafaszerować pestkami jak kaczkę.

Zakończyłem ten wątek – nie chciałem na siłę grać zawodowca, szczególnie że on za chwilę zapytał ze złośliwym uśmiechem:

– To podobno twój pierwszy łeb?

Nic nie odpowiedziałem – jeśli wiedział, to po co mam potwierdzać? A jeśli

tylko tak przypuszczał, to... To tak samo.

Przez chwilę milczeliśmy, po czym Nino się odezwał:

– Artiom idzie na spotkanie w hotelu „Orbis”. Rozmawia z jakimś grubasem, który ma tam biuro. Znaczący: swój stolik w barze. Podobno spotykają się o szesnastej, a ile czasu im to zajmie, Bóg raczy wiedzieć.

– Dobrze znasz Poznań? – zapytałem. Wzruszył ramionami.

– Kilka razy tam byłem, może nawet kilkanaście. Ale bez obaw, drogę do „Orbisu” znam i wiem, jak się szybko stamtąd ukręcić. No, w ostateczności mam mapę.

„Masz, kurwa, mapę. A jak ona nie pomoże, to będziemy pytać o drogę, najlepiej jakiegoś gliniarza” – pomyślałem i trochę mnie obleciał strach. Owszem, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to nawet mapa nie będzie potrzebna. A jeśli trzeba będzie trochę za gościem pojeździć?

– Skąd jesteś? – zapytałem.

– Zasadniczo z Rzeszowa, ale już od lat mieszkam w Berlinie – odparł spokojnie, zupełnie jakby chciał dać do zrozumienia, że Berlin i Poznań niczym się nie różnią: ten sam układ ulic, te same hotele na tych samych placach. Czy aby na pewno?

Jak się miało okazać, moje obawy nie były nieuzasadnione.

Kilkanaście minut przed piętnastą wjechaliśmy do Poznania i już niedługo potem zaparkowaliśmy w pobliżu hotelu „Merkury”, jakieś sto metrów od głównego wejścia. Czekaliśmy dwie godziny, ale Artiom ani nie wchodził, ani nie wychodził.

W końcu Nino zaproponował, że pójdzie do barku na rekonesans – nikt go tam nie zna, więc nie wzbudzi niczyjego podejrzenia. Poszedł i po kwadransie wrócił.

– Nie ma Artioma, żadnego grubasa też nie – rzucił krótko i zaczął nerwowo kręcić głową.

Postanowiliśmy skontaktować się z Koralem – powinien wiedzieć, że coś jest nie tak.

– A gdzie jesteście? – To była reakcja Korala na informację o tym, że Artiom nie ma w hotelu.

– Jak to, kurwa, gdzie, przecież nie na Marsie! – odparłem. – Pod „Orbisem”.

– Ale pod którym, kurwa, „Orbisem”?

– Jak to którym? To tu jest ich kilka?

– No pewnie! Przecież Nino dobrze wiedział, pod który ma cię podwieźć. „Orbis Poznań”.

– Przecież jesteśmy w Poznaniu, pod „Orbisem”...

– Ale „Poznań” to jest, kurwa, nazwa hotelu...

– Aha, a ten nasz to chyba „Merkury” – skumałem.

– Artiom miał być w hotelu na placu Andersa, ciołki! – krzyknął Koral. – Pewnie już skończył spotkanie i teraz trzepie konia pod prysznicem. Ale kopnijcie się tam, może się zasiedział.

Nie przytoczę tu wszystkich jobów, jakimi nas obdarował Koral, bo niby po co. Ale w czasie rozmowy ani razu nie padło słowo „zabójstwo” czy coś w tym stylu. Pełna dyskrecja, konspiracja. Wiadomo, operacja specjalna.

Po skończonej rozmowie z Koralem Nino wyciągnął tę swoją mapę i zaczęliśmy szukać drogi do hotelu „Orbis Poznań”. Daleko nie było...

SIEDMIU OBOK BECZKI

Stanęliśmy pod „Poznaniem” i zaczęliśmy się zastanawiać, co robimy. Czekamy w samochodzie na Artioma czy wchodzimy do środka i szukamy gościa?

W końcu stanęło na tym, że Nino pójdzie sam – nikt go nie zna, więc nawet jak będzie menda w środku, nie zwróci na niego uwagi. A Nino dobrze wiedział, jak wygląda Artiom – to jest trochę tak jak z gwiazdą kina. Każdy ją rozpozna na ulicy, a ona – nikogo.

No ale czasem gwiazda ma swojego sobowtóra. Artiom najwyraźniej też miał, bo Nino wrócił po chwili i mówi:

– Nie wiem, kurwa, nie jestem pewien, ale tam w środku jest jeden gość podchodzący pod Ruskiego. Widziałem go z daleka, nie chciałem podchodzić, żeby nie zrobił się czujny, ale morda bardzo podobna.

– No ale ja przecież tam nie mogę wejść. Nawet jak Artiom mnie nie rozpozna, inni mnie zapamiętają i psy dojdą jak po nitce do kłębka... To znaczy jak go odjebię.

– Ty go najpierw odjeb, a potem filozofuj – mruknął Nino, a ja na niego naskoczyłem:

– Coś ci się, kurwa, nie widzi? Masz do mnie jakieś wąty? A kto nas wywiózł w pizdu do złego hotelu?

Normalnie puściłbym jego uwagę mimo uszu, ale czułem, jak mi gula idzie do góry, bo sytuacja była generalnie mocno nerwowa. Mam odpalić gościa, i to po raz pierwszy w życiu, a nie mogę tego zrobić, bo nie wiem, gdzie on jest! Może faktycznie siedzi w barze, a może Nino ma zwidy i omamy.

Koniec końców, posiedzieliśmy w aucie przez następną godzinę, ale nikt podobny do Artioma nie wyszedł z hotelu. Postanowiliśmy więc wrócić do poprzedniego „Orbisu” – nie wiem po co. Chyba liczyliśmy na to, że zobaczymy Artioma spacerującego po centrum miasta i czekającego na strzał.

Oczywiście nigdzie go nie było. Kopnęliśmy się więc z powrotem na plac Andersa, ale to już tylko z zawodowej przyzwoitości; żeby nikt nam nie zarzucił, że się nie staraliśmy.

Tymczasem na parkingu czekało na nas małe zaskoczenie: obok dwóch czarnych mercedesów – to były dwieścieczterdziestki, znaczy beczki – stało sześciu czy siedmiu chłopów i nie byli to ojcowie franciszkanie, tylko goście z miasta, choć oczywiście ani ja, ani Nino żadnego nie znaliśmy. Zaczęli się na nas gapić – przez dobre pół minuty nie odrywali od nas wzroku, a myśmy się zastanawiali, czy tak zainteresowało ich czarne porsche, faktycznie ładna sztuka, czy też skumali, że jesteśmy od Korala i mamy do wypełnienia pewną misję.

Kiedy jeden z nich ruszył w naszą stronę – a może tylko tak się nam wydawało, nie dam sobie głowy uciąć – Nino dał po garach i odjechaliśmy

z piskiem opon.

– Was wysłać na mokrą robotę, to jak, kurwa... – Koral długo myślał nad jakimś wystarczająco obelżywym porównaniem, ale jako że z dużej chmury mały deszcz, a szef jakoś nie urodził się na literata, rzucił tylko: – To jak chuja wpakować do szklanki z wrzątkiem. Korzyść żadna, a problemy duże.

Powiedziałem mu, że wyszło, jak wyszło, bo kierowca popierdolił hotele. Siła wyższa, wszyscy chcieli dobrze. Koral też zresztą mógł być kapkę bardziej precyzyjny i powiedzieć dokładnie, że chodzi o taką, a nie inną miejscówkę, ale już z tym się nie wrywałem. Niech sobie myśli, że jest mi głupio, że posypuję głowę popiołem i obiecuję poprawę. A tak naprawdę miałem nadzieję, że już nigdy nie przyjdzie mu do łba, żeby mnie wysłać na taką robotę. Na tym polu się nie sprawdziłem, na innym jestem niezastąpiony. To po co, kurwa, kombinować jak koń pod górę i wypuszczać mnie tam, gdzie tylko narobię siary?

Koral nie powiedział ani tak, ani nie, tylko kazał mi wypierdalać i nie pokazywać mu się na oczy. Jak mu przejdzie wkurw, to sam da mi znać. Ale zanim dał znać, przeczytałem w gazecie, że ktoś odjechał Artioma pod jego własnym domem. Gość czekał na parkingu, na którym Rusek trzymał furę, podszedł do Artioma i wyjechał mu siedem pestek – trzy w miche, resztę w klatę. Gangus nie miał szans – wypierdolił się na glebę i wyzionął ducha.

Śmieszne, nie? Dowiedziałem się z gazety, że ktoś wykonał moje zlecenie. Moje, kurwa, moje. Gdybym to ja pojechał z kurwą, to o mnie by pismaki pisały. A tak to ktoś inny przejął moją sławę.

Trochę zabolalo, nie przeczę.

NAJPIERW ROZMOWA, POTEM LAS

Nie wiem, o co tak naprawdę poszło; nie wiem, co Koral cierpiał do Młodego, ale wiem, jaką chorobę mu wymyślił: Młody przytulił cudzą kasę i nie oddał. W grupie choroba ma zawsze podobne objawy i chodzi wyłącznie o hajs. Tym razem hajs Korala. To tak w największym skrócie, a teraz trochę szczegółów.

Młody, czyli Krzysiek W., pojawił się w grupie mniej więcej rok wcześniej. Nie mam pojęcia, kto go wprowadził, podejrzewam, że podrzucili go chłopcy ze Stargardu – tam był spalony, a miał łeb do interesów. No więc zaproponowali, żeby do nas doklepał – na pewno nie pożałujemy, bo Krzysiek to prawdziwy kot!

Specjalizował się w wyłudzeniu VAT-u i innych przekrętach finansowych – na przykład ssał kredyty z banków jak odkurzacz. Wyrabiał się na grubego biznesmena, zresztą miał odpowiednią prezencję – uśmiechnął się do panienki z okienka, coś jej tam do uszka pobajerował i już miała mokro w majtkach. A Młody wychodził z kasą wziętą na cudzy dowód osobisty. Trochę przesadzam, bo oczywiście uzyskanie kredytu jest rzeczą kapkę bardziej skomplikowaną. No ale on był w tym naprawdę dobry.

Najlepsze, jak on zdobywał te dowody osobiste. Odstawiał się na wielkiego grubasa: biała koszula, pół kilo złota na szyi, czarne spodnie, lakierki, wsiadał do swojej beemki, fakt, sfatygowanej, ale przecież tego z wierzchu nie widać, i ruszał pod sklep. Właściwie pod taką budkę z piwem, niedaleko pośredniaka. Tam raczyło się browarkiem menelstwo czekające na jakąś propozycję. Powiedzmy, że pracy. Takiej typu przynieść, wynieść, pozamiatać, oczywiście bez przesady! Byli otwarci na wszystko, ważne, żeby się nie zmęczyć. A Krzysiek dobrze wiedział, jak ich podejść. Miał dla nich wymarzoną propozycję: niezły hajs właściwie za nic. Najpierw lustrował klienta wzrokiem, wyczuwał, czy gość się nadaje, a następnie wjeżdżał mu kołami na buty. No, prawie na buty – chodziło o to, żeby klient skumał, że ma do czynienia z grubasem, z prawdziwym biznesmenem, co sra kasą na lewo i prawo.

Młody wysiadał z beemki, zapalał fajeczkę, podchodził do flimona i zapodawał mu taki tekst:

– Chcesz stówkę? Stówkę i fajki. Albo stówkę i dwa browce.

Facetowi z reguły zapalały się oczy. Pytał:

– Ale za co, kierowniku, samochodzik pana prezesa mam popilnować?

A Młody mu na to, niby w żartach:

– Od mojej fury to się, kurwa, goń. Sam se przypilnuję. Ty mi pożycz swój dowód osobisty na godzinkę, powiedzmy: na dwie godzinki, a jak wrócę, dostaniesz siano. Pasuje?

Mało który pytał, na co Młodemu dowód, ale jak zapytał, to usłyszał:

– Chuj ci do tego. Płacę ci, więc co cię reszta obchodzi? Oddam dowód

w stanie nienaruszonym i szlus. Jak ci nie pasuje, poszukam kogoś innego.

To była typowa gangsterska socjotechnika – nie pasuje, to wypierdalaj. Jest wielu chętnych na stówkę i browarek. Nie doceniasz tego, że ci się za frajer manna sypie z nieba, to stój pod tym sklepem i czekaj, aż ci ktoś zaproponuje coś lepszego. A ty dobrze wiesz, że nikt niczego nie zaproponuje. Chyba że kopa w ryja.

W ten sposób Młody zawsze miał do dyspozycji kilka dowodów osobistych. Znał miejscówki, gdzie stoi frajernia, i jeździł tam w ciemno. Czy potem oddawał dowody? Czasem oddawał, czasem nie oddawał, ale nie słyszałem, żeby komuś tę stówkę zapłacił. Chociaż powiem ci tak: jak kupił browarek, to już nikt się nie pultał. Ostatecznie flaszka za darmo to też nie w kij, kurwa, dmuchał.

Z tymi dokumentami to szalał na całego. Miał w ekipie gości, którzy latali z nimi po bankach i brali kredyty. To były jeszcze te stare dowody, tak że delikatne podrasowanie nie stanowiło problemu – odklejało się zdjęcie prawdziwego właściciela, wstawiało nowe i nikt nie zauważył, że coś jest nie tak. Ty myślisz, że te panienki z okienka w bankach to nie mają nic lepszego do roboty jak wpatrywać się w dowody osobiste? Pewnie cały czas myślą o bzykaniu, a nie o zyskach firmy – przecież bankowa forsa to nie ich forsa.

Zdarzało się też, że zdjęcia w ogóle nie podmieniano – jeśli „nowy właściciel” dowodu był w miarę podobny do tego na fotce, to nie tracono czasu na podróbki.

A jak był tylko trochę podobny – to albo zapuścił brodę, albo wąsy, albo przefarbował włosy.

W każdym razie pieniądze szły szerokim strumieniem – rzadko kiedy spotykali się w banku z odmową. Zresztą niekoniecznie szli bezpośrednio do banku, tylko powiedzmy do sklepu z elektroniką. Brali sprzęt na raty i się ukręcali.

Po jakimś czasie bank orientował się, że dupa blada, i wtedy do akcji wkraczała policja. Zawijała menela i pytała, dlaczego nie spłaca kredytu. A on robił wielkie gały i pytał: jaki kredyt, panie władzo? Na co mi kredyt, jak ja wszystko mam!

Wystarczyło na niego popatrzeć, żeby skumać, że gość mówi prawdę. Jedzie od niego jakąś karbidówką i pewnie nie przyjdzie mu do głowy, że mógłby pić coś innego. To na co mu kredyt?

No a potem gęste tłumaczenie: panie władzo, zgubiłem dowód, jak Boga kocham, zgubiłem. Dlaczego nie zgłosiłem? Dopiero się zorientowałem. Właśnie miałem iść na komisariat, ale jakoś mi nie było po drodze.

Albo mówili prawdę: no, był taki jeden, widać, że z żurnala cięty, zapytał, czy mogę mu pożyczyć dowód osobisty, bo on do czegoś tam potrzebuje. Ja wiem, że to niezgodne z prawem, ale dał mi zgrzewkę piweczka, to jak miałem odmówić? A pan, panie władzo, by odmówił?

To tylko jeden z patentów Młodego – facet umiał wyłudzać hajs i krążył po kraju, żeby go za szybko nie namierzyli. Raz grał biznesmena, raz ofiarę losu, innym razem księdza... Przeważnie działało.

Koral zorientował się, jaki mu się diament trafił, i wpadł na pomysł, żeby mu wrzucić trochę siana na inwestycję. Powiedzmy, że z jednej złotówki Młody miał zrobić dziesięć. I nie mam wątpliwości, że zrobił. Ale... Przytulił wszystko, a potem zaczął walić głupa – że niby nie wyszły mu inwestycje, że, fakt, podwoił wkład Korala, ale na dziesięć razy to nie było szans.

Koral nie frajer – po cichu przyglądał się Młodemu i zorientował się, że gość zaczął żyć ponad stan. Kupił sobie nową beemkę, swojej dupie coś tańszego, ale nie badziewnego, chyba jaguara S-Type. Używanego. Babie bardzo zależało, żeby pomykać jaguarem – model czy wersja nie miały znaczenia. Nowe gajery, elektronika do chałupy, sprzęt audio, i to taki z najwyższej półki. Normalnie jakby zajmował kilka baniek z totolotka. A przecież wiadomo było, że ten totolotek to był hajs Korala. I Krzysiek wiedział, że Koral wie, ale postanowił jechać po bandzie.

Była między nimi rozmowa ostrzegawcza, ale Krzychu, zamiast położyć uszy po sobie, zaczął się stawiać. Powiedział Koralowi, że jak mu nie pasuje to, co dostał, to on, Młody, nic na to nie poradzi. I że w ogóle to on nie jest człowiekiem Korala, a tylko wykonuje dla niego zlecenia – ma swoją ekipę, bardzo ostrych chłopaków, i jak dojdzie do rozkminki, to się okaże, kto kogo dojedzie.

No, tego Koral nie mógł puścić płazem, tym bardziej że rozmawiali przy świadkach – mnie tam akurat nie było – i gdyby odpuścił Młodemu, byłoby to niewychowawcze. Mówiąc krótko, odbiłoby się to na pozycji szefa.

Jak to się mówi w „mieście”: z kurwami trzeba jechać. No i Koral zadecydował, że pojedziemy z Młodym. W lesie mu się wytłumaczy, co wolno, a czego nie wolno.

GDY SKACZE CIŚNIENIE

Iznowu padło na mnie. Spotkałem się z Koralem i Gorzkim na mieście – w takiej knajpce, w której wszyscy lubiliśmy jadać. Było dość obskurnie, ale żarcie smaczne: tak zwana kuchnia polska. I tani browar.

Koral, bez żadnych wstępów, powiedział mi wprost:

– Pukniesz Młodego.

– Coś ty się tak na mnie uparł? – ja mu na to. – Mam inną robotę.

A Gorzki poklepał mnie po plecach i zaczął wsuwać farmazon:

– Nie zna życia, kto nie służył w marynarce...

– Sam sobie idź do marynarki. Jak wam Młody przeszkadza, to go sami zdejmijcie.

Koral nie lubił, jak mu się ktoś sprzeciwia, ale trzeba przyznać, że zanim opierdolił, starał się przedstawić swoje racje:

– Nie wyszło ci z Artiomem, to teraz musisz odpokutować...

Wywaliłem na niego gały – nie miałem pojęcia, czy żartuje, czy mówi poważnie. Uśmiechnął się tym swoim uśmiechem starego szelmy i dodał:

– Żartuję, tamta sprawa nie ma nic do rzeczy. Ale jesteś w grupie i musisz robić to, czego od ciebie grupa oczekuje. A oczekuje tego, że strzelisz Młodemu w łeb. Okazał się kurwą i trzeba z nim pojechać. Proste jak drut. Na miejscu będzie kilku chłopaków i może się okazać, że to nie ty odpalisz frajera. Ktoś może się okazać nerwowy i zrobi to, zanim ty sięgniesz po komin. Powiedzmy, że będziesz częścią komitetu pożegnającego. Ale jeśli nikt się nie wkurwi, ty będziesz musiał wysłać Młodego do piachu. Zadania trzeba rozdzielać sprawiedliwie: jedni kopią doły, drudzy muszą te doły zapełniać.

– Możesz mi objaśnić sens tej metafory, bo chyba nie do końca rozgryzłem i nie kumam? – spytałem, siląc się na język salonowy, którego od czasu do czasu używaliśmy, chcąc ukryć zdenerwowanie.

Koral wyjaśnił mi, że kilku chłopaków pojechało do lasu, żeby przygotować miejsce wiecznego spoczynku dla Młodego i jego Aldonki. A że ziemia twarda, to z pewnością bardzo się napracują. Trudno więc, żeby ich jeszcze obciążać obowiązkiem wykonania egzekucji. Ta – jak to określił Koral, „sanitarna” – część zadania należy do mnie. Ale jeśli będę miał szczęście, znów nikogo nie zabiję, bo ktoś to zrobi za mnie. Na Krzyśka wszyscy są wkurwieni i chętnych do odjebania go nie brakuje. Mogę więc czuć się wyróżniony, że to ja zostałem wybrany na kata.

„Jednak Koral to gość z klasą – pomyślałem. – Nawet najpodlejszą robotę potrafi przedstawić jak Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy”.

Nie powiedziałem wyraźnie, że się zgadzam, ale też nie odmówiłem. Kiwnąłem głową, coś tam wymamrotałem pod nosem, w stylu: „Ja to z wami, kurwa, mam przesrane”, i udawałem, że interesuje mnie wyłącznie golonka, którą

miałem przed nosem. Skóra była gruba i tłusta, a mięska kapkę za mało – ale ja lubię skórę, tyle że tym razem zupełnie jej nie podpiekli. A ja lubię, jak jest chrupiąca...

Plan był taki: zawijamy Młodego na mieście i pakujemy go do jednego samochodu, a potem jedziemy do jego domu, wywlekamy Aldonkę i wrzucamy ją do drugiej fury. I wywozimy oboje do lasu, jakieś dwadzieścia kilometrów za miastem. W sumie kawalkada miała liczyć cztery samochody: w pierwszym Aldonka i dwóch chłopaków, w drugim Młody i trzech naszych, w trzecim ja i ktoś tam jeszcze, a w ostatnim – reżyser przedstawienia, czyli Koral, i jego najbliższa świta.

Było już dobrze po ósmej wieczorem, gdy wreszcie Młody raczył wyjść z salonu z automatami. Niby taki łebski chłopak, a zamiast dobrze inwestować swoje, a raczej – Korala, pieniądze, puszczał je na automatach. Zupełnie jak jakiś dzieciak albo bezrobotny. Bo musisz wiedzieć, że bezrobotni to główna klientela tego typu przybytków – zawsze znajdą kilka złotych, żeby dać sobie szansę na dodatkowe piwko i kilo parówek.

Zresztą Młody pewnie nie chodził po to, żeby się wzbogacić, tylko żeby użyć wielkiego świata – taki salon, a właściwie blaszana buda, dawał mu namiastkę kasyna. Monte Carlo dla ubogich, można powiedzieć, choć akurat Krzysiek ubogi nie był i w Monte Carlo też mógłby zaszaleć. No ale widocznie miał w sobie żyłkę hazardzisty i musiał od czasu do czasu zafundować sobie odrobinę adrenaliny, tu, na miejscu. Do Monte Carlo też pewnie kiedyś by pojechał, a zamiast tego czekała go wycieczka do lasu.

Wyszedł z salonu i ruszył w stronę swojej beemki – to była czarna trójka z napędem na cztery koła – i gdy sięgał do klamki, dostał bejsbolem w łeb. Zatoczył się i upadł na chodnik – zanim odzyskał świadomość, już go wciągaliśmy do zielonego audi, którym miał pojechać do lasu. Jako że nie dostał mocno, szybko wrócił na ziemię i zaczął się zdziwiony rozglądać wokół, zupełnie jakby trafił do statku kosmicznego – niby wiedział, co się dzieje, ale ze wskazaniem na „niby”. Ja znam to tylko z relacji chłopaków, którzy jechali razem z nim. Podobno przez większą część drogi pytał: „Ale o co chodzi?”, a kiedy chłopaki mu odpowiadały: „Ty dobrze, kurwo, wiesz, o co biega”, on wracał do swojego pytania. Nie wyglądał na przerażonego, ale totalnie zaskoczonego. Albo naćpanego – kto wie, może zanim polazł na te automaty, nawąchał się jakichś prochów? Dla niego to nie była komfortowa sytuacja. Pytanie, czy od razu skumał, że jedzie na rozwałkę, czy też miał jakieś inne wersje swojej najbliższej przyszłości.

Być może kiedy podjechaliśmy pod jego dom – a mieszkał w takim starym bliźniaku, osłoniętym od ulicy drzewami – poczuł się pewniej. Może nawet

pomyślał, że za karę dostał w łeb, a teraz wraca do domu, gdzie przemyśli swoje postępowanie i następnego dnia grzecznie pójdzie do Korala z hajssem i z przeprosinami. No, jeśli tak myślał, to był idiotą – powinien wiedzieć, że boss nie odpuszcza komuś, kto przytulił jego siano, a dodatkowo podważył jego pozycję przy innych. A Młody zrobił i jedno, i drugie, pewnie sądząc, że ma za sobą ostrą ekipę, która stanie za nim murem.

No i gdzie teraz była jego ekipa, gdzie byli jego twardzi ochroniarze? Nie kiwnęliby palcem, żeby go chronić, a dwóch z nich siedziało z nami w jednym z samochodów. Powiem ci – kilka dni wcześniej ostro z nimi pograliśmy. Wiedzieli więc, że Krzysiek, choć jeszcze żyje, już jest zimnym trupem, i nie chcieli podzielić jego losu.

Jeden z nich nawet pojechał na wycieczkę do lasu, gdzie dostał zadanie wykopania sobie grobu. Zanim wbił po raz pierwszy łopatę w ziemię, już się totalnie osrał i zaczął błagać, żebyśmy mu odpuścili. Oczywiście natychmiast nam wystawił swojego szefa i dzięki temu wiedzieliśmy, kiedy i pod którym salonem gry mamy czekać.

Takich to prawilniaków miał do dyspozycji Młody! Inna sprawa, że większość gości z miasta to chorągiewki – tam są, gdzie wiatr powieje...

Jednak póki co Młody nie wiedział, co jest grane... To znaczy pewnie coś przeczuwał, ale chyba nie aż taki finał. Trudno było wyczuć, co mu tam łązi po głowie, bo cały czas powtarzał jak nakręcony: „Ale o co chodzi?”.

W pewnym momencie nawet chciał wyjść z samochodu i udać się do domu, ale chłopcy go przytrzymali:

– A ty gdzie się wybierasz? Dostałeś pozwolenie? Jak nie, to siedź na dupie. Zaraz zobaczysz swoją niunię.

On odpowiedział:

– Ale o co chodzi? – I zamknął mordę.

Po Aldonkę poszło dwóch – podobno grzecznie zapukali, ona otworzyła i dowiedziała się, że musi szybko pojechać do Krzyśka. On gdzieś tam na nią czeka, a coś się stało z jego samochodem, więc oni ją podwiozą i potem przywiozą. Czyli taka normalna przyjacielska przysługa.

Spytała, czy ma wziąć ze sobą jakiś hajs. Pierwszy odpowiedział, że pieniądze nie będą potrzebne, a drugi, że i owszem, mogą się przydać na mechanika, a przynajmniej na pomoc drogową. No bo przecież beemka jest zepsuta.

Aldonka wyjęła z sejfu wszystko, co miała – potem okazało się, że było tego nie więcej niż pięćset złotych – zarzuciła na siebie skórzaną kurtkę i spokojnie wyszła z domu razem z tymi dwoma.

Początkowo w ogóle nie zorientowała się, że coś jest nie tak, i nawet próbowała żartować, że jakby Krzysiek kupił sobie skodę, to nie byłoby takich problemów jak z bumą. Bo buma podobno ciągle stała u mechanika – jak nie rozrząd, to zawieszenie, jak nie zawieszenie, to elektronika. Normalnie stary grat, chociaż udawał Bóg wie co...

Jak wyszła na dwór i zobaczyła samochody wypełnione karkami, to chyba coś ją tknęło. O nic nie zapytała, ale zatrzymała się i zrobiła krok do tyłu. W innej sytuacji chłopcy próbowaliby ją zagadać, jakoś uspokoić, ale teraz uznali, że nie ma czasu na pieszczoty, tylko trzeba Aldonkę szybko zaciągnąć do fury. Jeden złapał ją za włosy, drugi przystawił jej do szyi komin, i po chwili dziewczyna siedziała w mercedesie. Czyli w pierwszej furze kawalkady.

Podobno spytała:

– A gdzie Krzysiek?

– Jedziemy do Krzyśka – usłyszała.

– Naprawdę zepsuł mu się samochód?

– Wszystko mu się zepsuło – odparł na to jeden z dwóch.

O ile pamiętam, miał na imię Robert. A ten drugi chyba Jacek. Tak, Jacek i Robert. Jako że chłopcy regularnie odwiedzali siłownię, a właściwie to było ich mieszkanie, mówiliśmy na nich „pakerzy”. Jak ktoś rzucił hasło: „Jadą pakerzy”, to wiadomo było, że chodzi o ten duet. To byli ostrzy goście, bardzo często wysyłani do roboty, w której nie trzeba było specjalnie dużo myśleć, tylko solidnie sponiewierać. Sadyści, prawdziwi troglodyci – jak się rozkręcili, to ofiara mogła się już jedynie modlić o szybki zgon.

Ruszyliśmy. Po kilkuset metrach Aldonka zaczęła się rozglądać naokoło i w pewnym momencie dostrzegła swojego ukochanego. Nie wiem, jak to zrobiła – było dość ciemno, on siedział w innym samochodzie, ale widocznie miłość wyostrza wzrok. I krzyknęła:

– O, Krzysiek. To on jedzie z nami?

– Co by miał nie jechać? Ale loda mu już nie zrobisz.

Młody, który siedział w audi jadącym tuż za mercedesem, patrzył przed siebie tęnym wzrokiem i coraz rzadziej pytał, o co chodzi. Z tego, co później mówili pakerzy, ona z kolei wciąż powtarzała:

– Ale za co?

– Za jajco – odpowiadali jej rozbawieni, że dziewczyna najwyraźniej odchodzi od zmysłów.

Prawdę mówiąc, wielu chłopaków w grupie miało na nią ochotę, bo była niezłą lufą – zawsze wysztafirowana na bóstwo, wysmażona na solarce, z kolorowymi tipsami na paznokciach, ubrana jak z żurnala. Ten i ów próbował do niej zagadać, zapodać jakiś cwany farmazon, typu: „Szałowo wyglądasz, kotku, chętnie bym ci pokazał, jak to jest pofrunąć z rozkoszy do nieba”, ale ona była

wpatrzona w tego swojego kawalera. I nie podejmowała wyzwania.

Potem, już w czasie procesu, okazało się, że to była niezła rajfura – podobnie zresztą jak i on. Lubili się zabawić w większym gronie: wyszukiwali na portalach randkowych jakieś panie, chętne do figli w trójkacie, i to wcale nie on na to nalegał, tylko ona. Podobno bardzo ją rajcowało, kiedy ona to robiła z inną kobietą, a on patrzył. A potem się przyłączał. Ale nie pozwalała mu zerznąć tej drugiej. Młody mógł posuwać tylko Aldonkę. I chyba mu to pasowało, bo Aldonka była już dobrze zagotowana i pruć się jak dzikie zwierzątko.

Była wybredna, nie zawsze podobały się jej dziewczyny znalezione na portalach, więc wtedy trzeba było dzwonić po zawodową kurwę. Potem te prostytutki zeznawały w trakcie procesu i opowiadały takie historie, że aż sędzia musiał przywoływać je do porządku, mówiąc, że opis technik seksualnych nie jest przedmiotem sprawy.

No ale jak jechaliśmy do lasu, to ani Aldonka nie przypominała zboczonego wampa, ani Krzysiek amatora wesołej zabawy.

Tak jak wspomniałem, nie wyglądali na przerażonych, raczej na totalnie zaskoczonych – to, co się działo, nie mieściło im się w głowach. Nie rozumieli, dlaczego spadli z samego szczytu na samo dno – takiego scenariusza w ogóle nie brali pod uwagę: przecież zawsze mieli być piękni, młodzi i coraz bogatsi. Mieli żyć w coraz większym luksusie i wymyślać sobie coraz to większe atrakcje – zakładali, że ich życie to będzie nieprzerwany lot do góry, a tymczasem ktoś zadecydował, że stanie się zupełnie inaczej.

Kiedy zapytała, dokąd jedziemy, usłyszała, że na wycieczkę do lasu. Oczywiście doskonale sobie zdawała sprawę z tego, że z takich wycieczek się nie wraca, ale chyba nie miała pojęcia, dlaczego spotkało to właśnie ją. Podejrzewam, że nie była świadoma wszystkich wałków Młodego – przecież nie musiał jej wtajemniczać we wszystkie swoje interesy. Może zakładał, że jeśli powie jej o tym, jak próbuje przewalić Korala, ona zacznie mu suszyć głowę, ostrzegać, prosić, aby nie prowokował losu. Bo choć wszyscy uważali ją za głupiutką suczkę, ona swój rozum miała, a raczej – instynkt samozachowawczy. Na pewno wiedziała, że nawet tacy wybrańcy losu jak ona i Krzysiek nie powinni przekraczać pewnej granicy. Bo za tą granicą jest ciemny las...

No i po jakichś dwudziestu minutach dojechaliśmy do lasu. Samochody zatrzymały się wzdłuż drogi – uważam, że to było nieostrożne, bo każdy mógł zobaczyć, jak wywlekają Młodego i jego kobietę i prowadzą do lasu.

Szli jak barany na rzeź – nie rzucali się, być może wierzyli, że jeśli będą się grzecznie zachowywać, to ominie ich najgorsze. Zupełnie jakby pracowali na bardzo dobry z zachowania.

Ona powtarzała:

– Ale za co? – I te jej słowa słyszę do dziś.

– Zaraz się dowiesz, kurwo – padała odpowiedź.

Gdy w czasie procesu sędzia poprosił mnie, żebym dokładnie opisał tę sytuację i wymienił wszystkich, którzy poszli z Młodym i Aldonką w głąb lasu, nie byłem w stanie tego sprecyzować. Wydawało mi się, że poszli wszyscy, tylko ja zostałem przy samochodzie. Ale może jestem w błędzie; może na przykład chłopcy z ekipy Młodego nie chcieli być świadkami kaźni swojego dotychczasowego szefa?

Pamiętam, że podszedł do mnie Koral i powiedział:

– Na razie siedź na dupie. Ja sobie z nimi porozmawiam, a jak już skończę, przyślę kogoś po ciebie. Wtedy ich odjebiesz. Tylko żeby ci się sprzęt nie zaciął.

Kiwnąłem głową i usiadłem na masce opla. Wyciągnąłem fajka i zapaliłem. Nie jestem nałogowcem, spokojnie mogę się obejść bez palenia, ale w tamtym momencie chciałem się zająć czymkolwiek, byle tylko nie myśleć o zabijaniu tych dwojga. Fajek był najlepszym wyjściem. Potem wyciągnąłem z kieszeni walthera i zacząłem go ważyć w dłoni – chciałem nawiązać z nim jakąś łączność. Może nawet przerzucić na niego odpowiedzialność za to, co się za chwilę wydarzy?

Nagle z głębi lasu zaczęły dobiegać mnie krzyki – to był wzburzony głos Koralą, który tłumaczył Młodemu, za co przyjechał do lasu.

– Jak, kurwo, nie zawinałeś, jak zawinałeś? Jeszcze, dziwko, kłamiesz, jeszcze nie masz dość? – wydierał się boss, a Krzysiek coś tam odpowiadał łamiącym się głosem. Chyba płakał... Najwidoczniej szedł w zaparte, licząc na to, że jakoś przekona Koralą o swojej niewinności. Z tego, co wiem, zarówno Młody, jak i Aldonka obskoczyli przy okazji niezły łomot, bo w grupie była taka zasada, że zanim się frajerstwo odpali, to trzeba je kapkę sponiewierać. Tak żeby poszło do nieba z siniakiem na ryju.

Wiem, brutalne zasady, ale kto powiedział, że gang to kółko różańcowe? Krzysiek doskonale wiedział, do jakiego świata aspiruje i jakie w nim panują zasady – mógł się spodziewać, że zakończy swoją karierę w skrajnym upodleniu.

Czułem, że wściekłość Koralą rośnie z minuty na minutę, że czas egzekucji jest już bliski i zaraz szef kogoś po mnie przyśle. Odbezpieczyłem broń i czekałem na sygnał.

I w momencie gdy dostrzegłem tego posłańca, bo Koral faktycznie kazał mnie przyprowadzić na miejsce egzekucji, usłyszałem strzał. A potem drugi i trzeci...

Nie jestem ci w stanie powiedzieć, co poczułem – zupełnie jakby mnie ktoś podłączył do prądu i podkręcił moc. Po chwili oblał mnie zimny pot i zacząłem cały drzeć. Jak galareta! Ale nie dlatego, że tak bardzo przeraziła mnie cudza śmierć. Po prostu uświadomiłem sobie, że po raz kolejny unikałem debiutu jako cyngiel.

Owszem, mogłem brać pod uwagę, że to były tylko strzały na postrach. Słyszałem, że gangsterzy z Pruszkowa potrafili położyć gościa na ziemi i strzelać

naokoło jego głowy – od razu pękał i mówił, gdzie skitrał jakiś hajs czy inne fanty.

Ale Koral nie przywłókł Młodego do lasu, żeby mu organizować przedstawienie teatralne, tylko żeby z nim skończyć. Kiedy zaczął drzeć mordę, wiedziałem, że się naprawdę zagotował. A w takich chwilach tracił głowę i mógł zrobić dosłownie wszystko. Chociaż nie sądziłem, że jebnie Krzychowi między oczy.

Pierwszy strzał był śmiertelny. Wrzucili go do dołu, przysypali wapnem, potem ziemią, a na koniec grób przykryli darnią.

Wiesz, kto odnalazł groby? Jacyś poszukiwacze skarbów czy innych pamiątek z czasów drugiej wojny światowej. Pewnie szukali niemieckich hełmów i bagnetów, a dokopali się do „pozostałości” po wojnie polskiej mafii. To znaczy odnaleźli pierwszy grób, ten z Młodym, i dalej nie mieli ochoty szukać. Aldonkę wykopała już policja i dopiero wtedy wyszło na jaw, że zabójca sfuszerował robotę.

W trakcie procesu dowiedziałem się, że chociaż obkoczyła dwie pestki, w tym jedną w głowę, nie umarła od razu. Po ekshumacji i sekcji zwłok okazało się, że miała ziemię w płucach. Czyli że zakopali ją żywcem i zmarła na skutek uduszenia. Paskudna sprawa...

Może gdybym to ja strzelał, oszczędziłbym jej tego cierpienia? Zakładając, że była na tyle przytomna, żeby jeszcze cokolwiek czuć w agonii.

Kiler musi działać na chłodno – nigdy pod wpływem emocji. On ma zabić, nie ukarać. A Koral strzelał po to, żeby Młodego i Aldonkę zabolalo, żeby jak najdobitniej odczuli jego wkurw. Podejrzewam, że byłby zadowolony, gdyby człowiek nie umierał tak szybko i można było w niego wywalić kilka magazynków. Tymczasem kiler nie może sobie pozwolić na osobisty stosunek do ofiary. Ba, powinien nawet wyobrażać sobie, że nie likwiduje człowieka, ale po prostu jest na strzelnicy i celuje w dziesiątkę. Po cichu, bezboleśnie, bez żadnych teatralnych gestów i słów.

Pyk i nie ma. A był...

GDY ODPUSZCZASZ, OKAZUJESZ SŁABOŚĆ

Wiesz, czego nie lubię? Umoralniających kazań. I to wygłaszanych przez gości, którzy akurat z moralnością nie mają zbyt wiele wspólnego. Powiem ci – ja kiedyś byłem wierzący i nawet chętnie latałem do kościoła. Może nie co niedziela, ale na tyle regularnie, że mogłem sobie wpisać do karty choroby „katolik praktykujący”. Z czasem zaczęło mi się to coraz mniej podobać. To znaczy kazania, bo gdyby nie było kazań, pewnie dalej chodziłbym do kościoła, nabożeństwa byłyby krótsze i wszyscy byliby zadowoleni: i większość księży, i większość widzów. Znaczą się – wiernych. Bo ile można słuchać, że jest się do niczego, a jeśli chce się być coś wartym, to trzeba przestrzegać jakichś zupełnie nieżyciowych zasad: ani się napić, ani poruchać, ani w mordę dać... Bogactwem trzeba pogardzać, a jak już się je zdobędzie, to natychmiast należy rozdać je między potrzebujących. Może to właśnie ja jestem potrzebujący i niczego nie zamierzam rozdawać, bo podoba mi się takie jedno porsche 911 i jak go sobie nie kupię, będę cierpieć? Ale nie – według Kościoła, jeśli masz hajs, to natychmiast musisz go oddać innym. A co, jeśli ten, komu go oddam, od razu kupi sobie moje wymarzone porsche? On będzie sobie śmigał po Lazurowym Wybrzeżu i wrywał laski, a ja zyskam aprobatę Pana Boga, bicząc się pod jakimś drzewem. Bo mieszkanie, naturalnie, też oddam potrzebującym. Wkurwiało mnie, kiedy księża przestrzegali mnie z ambony przed seksem i innymi radościami życia. Co ich obchodzi moje życie prywatne?

Człowiek robi różne rzeczy, i lepsze, i gorsze, właśnie dlatego jest człowiekiem. Nigdy nie miałem zamiaru zostać świętym i tego się trzymam, tym bardziej że tytuł świętego raczej mi już nie grozi. Umrę jako grzesznik i jestem z tym pogodzony.

Ale akurat rozumiem Korala, który po odjebaniu tej dwójki postanowił przemówić swoim ludziom do rozsądku i wygłosić kazanie. Oczywiście nie w lesie.

Kiedy zakopaliśmy Młodego i jego cizię, było już koło północy. Najwięcej czasu zajęło zamaskowanie dołów – pewnie, wiedzieliśmy, że wcześniej czy później ktoś wykopie trupy, ale nam zależało, żeby to nie nastąpiło za szybko.

To był bardzo trudny i męczący dzień. Wydawało nam się, że jak już będzie po wszystkim, rozjedziemy się do domów. A tam każdy, w samotności, przy szklance wódki będzie miał czas się zastanowić nad przemijalnością życia i nieprzemijalnością kurewstwa i frajerstwa.

Bo jednak odjebanie ludzi – i to w jakimś sensie bliskich nam, no bo przecież Młody, chociaż okazał się pieprzoną rurą, latał u nas i uważaliśmy go za kolegę – jest sporym przeżyciem. Możesz sobie kozaczyć, że odpalić frajera to jak splunąć, i w ogóle co to nie ty, ale gdzieś tam to w tobie siedzi i narasta. Uwiera,

wręcz boli. I im bardziej wyrabiasz się przed kumplami na twardziela, któremu zabicie człowieka sprawiło niewysłowioną frajdę, tym bardziej jest ci z tym łyso.

Dlatego kiedy Koral powiedział, że jedziemy do motelu pogadać, wszyscy spojrzeli na niego jak na jakiegoś nawiedzonego hucpiarza. Bo nikt nie widział powodu, żeby gadać – o czym tu mówić, jak już wszystko jasne?

Spytałem go przy wszystkich:

– A musimy dzisiaj jechać do tego motelu? Ludzie są padnięci, chcą się przekimać, a nie gadać.

Wtedy on spojrział na mnie tym swoim kamiennym wzrokiem, z którego był znany w całym kraju, i syknął:

– A ty, kurwa, nie głosuj, bo akurat ty to się najmniej narobiłeś.

Chciałem mu coś odszczeknąć, ale popatrzyłem na ciemny las i pomyślałem, że nie chciałbym tam zostać na noc w charakterze trupa. Wzruszyłem ramionami i zacząłem iść w kierunku samochodu. Usłyszałem jeszcze:

– Jak ja mówię, że trzeba pogadać, to trzeba. To nie jest, kurwa, tak, że ja mam widzimisie, ale jest temat...

Ruszyliśmy w stronę motelu „Pod Jesionem”, jakieś dziesięć kilometrów dalej na północ. Czasami wpadałem tam na schabowego, bo u nich był większy niż pizza i co dziwne, wcale nie taki cienki. Wszyscy wiedzieli, że tam dobrze karmią, więc zdarzało się, że jak przyjechałem, to nie było wolnego stolika. Obok znajdował się parking dla tirów, dlatego główną klientelę lokalu stanowili kierowcy z Białorusi i z Litwy. Wieża Babel, można powiedzieć.

Jednak po północy, kiedy przyjechaliśmy, restauracja świeciła pustkami, choć kuchnia cały czas działała.

Zestawiliśmy kilka stolików i zamówiliśmy tatarą dla każdego i trzy butelki wódki. Mieliśmy się dobrze znieczulić. Zapytałem Korala, jak wrócimy do miasta, skoro kierowcy będą po kilku kielichach, ale odparł, że jak ktoś umie jeździć, to mu żyto nie wadzi, a co do psiarni – o tej porze drogowka już smacznie śpi. A jeśli zatrzyma nas jakiś nieoznakowany patrol, to da się z nimi dogadać.

Wypiliśmy po jednej lufce, potem po drugiej. Zakąsiliśmy tatarą i ewidentnie wszystkim poprawiły się humory. Ktoś nawet rzucił hasło, żeby wypić za zdrowie Młodego i Aldonki, i paru gości się roześmiało, ale wtedy do akcji wkroczył Koral:

– Co wam tak wesoło? Z cyrku wracacie, *Teleranek* wam mamusia zapodała?

Wszyscy popatrzyli na niego ze zdumieniem – czego on jeszcze chce? Robota wykonana, teraz pijemy wódkę, tak jak sobie zażyczył, choć każdy chętnie kimałby we własnym wyrku...

Tymczasem on zaczął swoje kazanie, które brzmiało mniej więcej tak:

– Widzieliście, co się stało z Młodym? Widzieliście. Czy musiało tak się

stać? Oczywiście nie musiało. Gdyby Młody uczciwie pracował i zachowywał się jak należy, dalej by żył i pewnie teraz pukałby swoją ukochaną. Niestety, nigdy więcej jej nie puknie, a ona też nie będzie pukana. Dlaczego? Bo Krzysiek okazał się rurą, i to taką miękkim fiutem robioną. Próbował mnie przewalić na hajs, więc tym samym wszystkich was próbował przewalić. A czy ja jestem Matka Teresa? Nie, ja nie jestem Matka Teresa – ja nie odpuszczam i dlatego jestem silny. Gdybym mu odpuścił, okazałbym słabość i on by to wykorzystał. A potem każdy z was by korzystał – nie ma przecież nic lepszego niż powiesić sobie nad drzwiami salonu poroże dużego zwierza. Ja jestem duży zwierz, ale nie zamierzam stanowić ozdoby w waszych jebanych salonach. Dlatego każdy, kto będzie próbował mnie tak czy inaczej wychujać, pojedzie do lasu i zostanie w nim na zawsze. Dlaczego zabrałem tak dużą ekipę na tę rozwałkę? Przecież można było Młodego odjechać po cichu, bez świadków – kara byłaby taka sama. Owszem, ale efekt psychologiczny byłby o wiele mniejszy. To jest lekcja pogładowa na temat: jak kończą frajerzy. I tak samo może skończyć każdy z was, nie zawaham się wysłać do lasu nawet najbliższego kumpla, jeśli okaże się kutafonem. Zresztą co to znaczy kumpel? Dziś wielki przyjaciel, a jutro, jak psy z nim pocisną, podaje na papier na swojego najlepszego przyjaciela. Widziałem w życiu wiele takich sytuacji i już nie mam złudzeń. Nie ma przyjaźni, są tylko siła i wspólne interesy.

Mówił coś jeszcze, ale nie pamiętam dokładnie wszystkich jego złotych myśli. Generalnie sporo było o zasadach, o tym, że trzymamy się razem i razem toniemy. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Wtedy jego słowa traktowałem śmiertelnie poważnie. Dziś, kiedy wiem, jak się zachowywał podczas procesu, jak się jękał przerażony, kiedy prokurator stawiał mu pytania i tylko marzył, aby skryć się do mysiej dziury, śmiać mi się chce. Ale tamtej nocy znałem Korala jako bezwzględnego dyktatora – jeszcze nie wiedziałem, że ma drugie, zupełnie inne oblicze i wcale nie jest tak twardy i honorowy, jak sam twierdził.

Miałem pewność, że jego kazanie było skierowane głównie do tych trzech, których przejął od Młodego – mieli się przekonać, że w tej grupie nie ma żartów i dla wszystkich będzie lepiej, jeśli okażą się rozsądni. Bo jeśli nie, las jest duży – miejsca w nim dostatek.

Zresztą chłopcy od Młodego nie wyglądali na buntowników – kiwali głowami i chcieli sprawiać wrażenie takich, którzy pójdą za Koralem w ogień. Bali się... Bali się jak jasna cholera. Gdyby im podał łapy do całowania, jak jakiś pieprzony sycylijski ojciec chrzestny, wylizaliby mu dłonie i pierścienie. Ale Korala nie miał takich zwyczajów.

Oczywiście kazanie było przeznaczone także dla nas – dla ludzi latających w jego grupie już od dawna. Na wypadek gdyby ktoś chciał wyskoczyć za wysoko i zrównać się z Koralem. On się nie lubił dzielić władzą, tym bardziej że władza miała bardzo konkretny wymiar: pieniędzy. One odróżniały jego od całej reszty.

To on, boss, jeździł nowym lamborghini diablo za prawie pół bańki papy i gdyby komuś przyszło do głowy, żeby się pojawić na mieście w czymś choćby podobnym, pewnie dostałby od Korala trochę dynamitu jako wyposażenie dodatkowe.

Wszyscy mieli wiedzieć, gdzie jest granica, której nikomu nie wolno przekroczyć. Granica władzy rzeczywistej i tej symbolicznej, na pokaz.

Na szczęście mnie się lambo nigdy nie podobało. Brzydkie, kanciaste i niewygodne: trudno wsiąść do środka i jeszcze trudniej wysiąść. A osiągi wcale nie lepsze niż w Audi R8.

Ja to lubię duże SUV-y. Na przykład Range Rovera Vogue – człowiek czuje, że żyje, jak tym śmiga. To rejs transatlantykiem, a nie jazda samochodem! Może urodą nie poraża, chociaż to kwestia względna, ale na każdym robi wrażenie. Jest wielki jak czołg, a do setki rozpędza się w osiem sekund i ryczy jak lew. Uwielbiam ten ryk... Ale to nieistotne.

Spotkanie „Pod Jesionem” skończyliśmy przed trzecią nad ranem – rozjechaliśmy się do domów, nieniekajeni przez policję. Można powiedzieć, że dzień był udany... No, Młody by pewnie miał odmienne zdanie.

KOZACY ZE WSCHODU

Z jednej strony czułem coś w rodzaju ulgi, że znowu mnie to ominęło; że nie musiałem strzelać bliźniemu w łeb, a z drugiej... Kurwa, a z drugiej narastał we mnie cholerny niepokój. Bo gdzieś tam, w środku, chciałem to wreszcie mieć za sobą. Wyobrażałem sobie, że jak już puknę frajera, to coś ze mnie spłynie, opadnie jakaś kurtyna, przejdę na drugą stronę i wszystko stanie się łatwiejsze. Jak to mówią – najtrudniej zabić pierwszy raz, bo potem samo leci.

Rzecz w tym, że najtrudniej jest czekać na ten pierwszy raz. Bo zabić to w sumie małe piwo – naciskasz spust i jeśli dobrze wycelowałeś, wszystko dzieje się samo. Technika robi to za ciebie – ty tylko ponosisz odpowiedzialność, nazwijmy to: prawną. No i moralną, ale nie będę tu prawil kazań, bo to nie moja rola.

To oczekiwanie na pierwszy strzał jest potworne – myśli kotłują ci się we łbie, organizm odmawia posłuszeństwa, łapy drżą jak na alkoholowym głodzie, czasami wręcz trudno złapać oddech. Szczególnie gdy zbyt intensywnie o tym myślisz. No bo jednak odjebanie człowieka to coś naprawdę dużego; to jakby wpierdolić się Panu Bogu w dzieło stworzenia. To coś, czego nie da się odwrócić, odwołać. Jak mówią mundurowi, to działanie ze skutkiem nieodwracalnym. Póki jest życie, wszystko da się odwrócić, naprawić. Nawet jeśli na razie jest to niemożliwe, to istnieje nadzieja, że może kiedyś, może za rok, za dziesięć, za sto lat uda się.

A jak w grę wchodzi śmierć – to już przepadło, dupa blada, niczego nie naprawisz i nie będzie ci wybaczone.

Powiem ci, ja zawsze popełniałem duży błąd, wszystko analizując, rozbierając proste sprawy na czynniki jeszcze prostsze. Inni tak nie muszą i jest im lepiej.

Po jakimś czasie poznałem Zbyszka – gościa, który odjebał Artioma. Czyli chłopaka, którego wysłano, żeby naprawił moją fuszerkę. On latał w dużej grupie z innego miasta – był głównym cynglem Kamyka, bossa z południa Polski. Kamyk wynajmował go innym grupom do mokrej roboty – czasami jeździł na rozwałki nawet do Niemiec. To był naprawdę dobry specjalista i bardzo fajny gość. Jeśli jakoś sobie wyobrażasz płatnego zabójcę, to na pewno wizerunek Zbyszka nie pasowałby do niego. Sympatyczny, życzliwy, taki, który przeprowadzi staruszkę przez pasy i nawet nie buchnie jej portfela. Zawodowiec!

Poszliśmy na wódkę i ja mu się zwierzyłem z mojego problemu – powiedziałem, że Koral sobie mnie upatrzył na cyngla i nie chce odpuścić.

A Zbyszek mniej więcej tak mi odpowiedział:

– U nas nie ma zawodowych cyngli. Takie rzeczy to tylko w amerykańskich filmach. W filmach, bo tak naprawdę u Amerykanów też zabija ten, co akurat znajdzie się w odpowiednim miejscu i z odpowiednim sprzętem. To nigdy nie jest jakiś przystojniaczek w gajerku od Armaniego za kilka koła papieru, co jeździ na akcję kabrioletem, ale taki sam chłopak jak ty czy ja. Po prostu jeden ma to już za sobą, a drugi dopiero przed sobą. Czy ty naprawdę myślisz, że ci Ruscy, którzy u nas robią „pstryki”, to są jacyś jebani komandosi ze służb specjalnych, jacyś megawojownicy, zaprawieni w bojach z Afgańcami? Oni tylko sobie budują taką legendę, żeby mieć więcej zleceń i wołać o większy hajs. Oczywiście, trafiają się rodziny ze specnazu czy z KGB, jacyś snajperzy z armii, ale to wyjątki – uwierz mi, do zabijania nie trzeba kończyć żadnego uniwersytetu czy być jakoś szczególnie uzdolnionym. Mówią, że chodzi wyłącznie o brak sumienia. Ale to chyba sranie w banię, bo ja jestem normalnym facetem, mam żonę i dziecko, potrafię kochać tak samo jak inni, więc nie wiem, o co chodzi z tym sumieniem.

Po chwili zastanowienia dodał jeszcze:

– Rzecz w tym, żeby za dużo nie myśleć i nie kombinować, że „zdejmujesz” kogoś takiego samego jak ty, kto też może ma jakąś tam żonę i jakieś tam dziecko. Masz mieć na to wyhuśtane! Żona i dziecko cię nie obchodzą, bo strzelasz do konkretnego gościa, a nie do całej jego rodziny. Zresztą może on napierdalał tę swoją kobitę i dojeżdżał ją na każdy możliwy sposób? Może ona znajdzie sobie nowego, lepszego i będzie o niebo szczęśliwsza? Zawsze trzeba myśleć pozytywnie. Przynajmniej wtedy, kiedy się da. Ale najlepiej w ogóle nie myśleć. Ty masz jedynie wysłać gościa do nieba, prawdopodobnie to jest kurwa, która zasłużyła na taki los, i nie ma co się rozczulać. W ogóle to nie jest twoja broszka. Ty masz wycelować i zrobić wszystko, żeby zdechł na miejscu. Nie może być tylko ciężko ranny, nie może wstać i spierdalać... Musi być martwy od samego początku – jeszcze nie zacząłeś mu sprzedawać pestek, a on już jest zimny. I tyle. Pamiętaj, nie chodzi tylko o to, żeby zabić, ale i o to, aby cię nie widzieli. Nie może być świadków, choćby najzupełniej przypadkowych. Ja wiem, że teraz na mieście chłopcy w ogóle nie przejmują się psiarnią i robią sobie strzelanki na ulicach, przy wszystkich. Hulaj dusza, piekła nie ma. Może i na razie są bezkarni, ale to się wcześniej czy później skończy. I przyjdzie czas zapłaty, zapewniam cię. Jak jacyś goście na górze uznają, że trzeba położyć kres gangsterce, to nagle wszystko się zmieni, zaczną się wjazdy do domów, „kominiarze” będą się panoszyć i Święty Boże nie pomoże. Jak komuś „dospawają głowę”, to będzie dożywotka... Nie dziś, nie jutro, ale może za dziesięć lat. Przekonasz się.

To była taka – jak by to powiedzieć? – długa rozmowa o zabijaniu. Albo raczej o racjonalizowaniu tego, co dla innych jest wielkim tabu. Zainteresował mnie wątek ruskich kilerów – wcześniej zawsze sądziłem, że to są koty najwyższej klasy; każdy po przeszkoleniu w KGB i ostrych jazdach w Afganistanie albo na

Kaukazie. Jak przyjeżdżał „do miasta” jakiś kiler zza Buga, to się zawsze z szacunkiem mówiło: lepiej do niego nie podskakiwać, bo on dużo umie i ręka mu nie zdrży.

Zbyszek, który miał z wieloma z nich do czynienia, opowiedział mi pewną historię.

Wiesz – zaczął Zbyszek – jakiś czas temu było tu trzech chłopaków zza Buga. Może Rosjanie, może Ukraińcy, a może Białorusini; ja tam nie odróżniam. Byli w Polsce na wystawce, bo na własnym podwórku palił im się grunt pod nogami. Odjebali jakiegoś znanego biznesmena, który zaczął podskakiwać ruskiej mafii. Facetowi się zdawało, że jest kozak – chwalił się mocnymi plecami, nie wiem, czy na Kremlu, czy w merostwie Moskwy, i powtarzał chłopcom z miasta, że jak będzie chciał, to ich pozamiata pod dywan i jeszcze na nich naszcza. Albo napuści czarnuchów, czyli konkurencję z Kaukazu. Podobno biegał też do telewizji i starał się doprowadzić do realizacji jakiegoś programu, w którym osoby związane z mafią zostałyby pokazane w wyjątkowo kiepskim świetle. Czyli uczciwie zapracował na to, co się stało. Polazł z dupą do jakiejś ekskluzywnej moskiewskiej restauracji na kolację, zapłacił i gdy wychodził na dwór, nagle coś się stało i padł jak długi na ziemię. Nikt nie słyszał strzału, nikt nie widział błysku. Cicho jak makiem zasiał. Dopiero po chwili laska zaczęła drzeć japę i było ją słyszeć kilka przecznic dalej.

Milicja potem udawała, że próbuje schwytać sprawców, tym bardziej że zrobił się duży szum, bo biznesmen był znany w całym kraju, ale oczywiście nikomu nie postawiono zarzutów. To znaczy jakichś tam leszczy zapakowano do chliwa, bo się akurat napatoczyli, ale trzeba było ich zwolnić, bo nie mieli z tym nic wspólnego. Podejrzewam, że ci, co mieli wiedzieć, wiedzieli, kto stał za zabójstwem. Ktoś dał cynk, a kiler natychmiast wyjechał z kraju.

A tak naprawdę to była ekipa – trzech chłopaków, którzy wyspecjalizowali się w zabijaniu. Ale nie myśl, że to byli jacyś komandosi ze Specnazu czy z Wypieła. Po prostu hobbyści, których kręciła taka robota. Jeden dobrze strzelał, także ze snajperskiego dragunowa, drugi rzucał nożem jak jakiś cyrkowiec, a trzeci wyspecjalizował się w garocie: jak komuś zarzucił linkę na szyję, to już nie było powrotu między żywych. I w zależności od potrzeb korzystali z tych swoich umiejętności. W Moskwie akurat zabił ten, co dobrze strzelał. Położył się na dachu bloku, jakieś pięćdziesiąt metrów od restauracji, i pyknął. Podejrzewam, że działał sam i nie było przy nim jego kompanów. Gdyby jednak była decyzja, że trzeba udusić gościa w ciemnej ulicy, to ruszyłby do akcji spec od garoty.

Jak uciekli, od razu trafili „na miasto”. Najpierw do Warszawy, a potem do nas. Mieszkali u mojego kumpla, który dysponował wolnym pokojem u siebie

w domu. To była bardzo dobra lokalizacja – trochę za miastem, na odludziu, niedaleko do lasu. Jakby ktoś się zbliżał, od razu by to wyczaili i ukręcili się między drzewa. Więc o akcji kominiarzy z zaskoczenia nie było mowy.

Mój kumpel nie miał pojęcia, że przyjął pod dach cyngli – wiedział jedynie, że są z mafii i robią lewe interesy. Jakieś dragi, jakieś haracze, te rzeczy. Ale nie pytał ich o nic, bo przestrzegał zasady, że czasami lepiej wiedzieć mniej niż więcej.

W ogóle mu nie przyszło do głowy, że Ruscy mogą mieć jakieś łby na koncie – jeden pięknie grał na gitarze, drugi znał się na filmie jak najlepszy krytyk filmowy, a trzeci, taki z długimi włosami, uważaj... pisał wiersze i wieczorami czytał je na głos. Tak, tak – czytał wiersze, a pozostali pili wino i zachwycali się poezją. Mój kumpel, który akurat dobrze znał rosyjski, też się zachwycił... Wieczorki poetyckie, kurwa mać...

Pewnego dnia wyjechali na dłuższą delegację – nie było ich w domu przez dwie doby. A potem wrócili i chlali na umór wodę.

Kumpel skumał, kim są, jak zobaczył w telewizji ich portrety pamięciowe – okazało się, że pojechali gdzieś w Polskę i zrobili jatkę w jakimś burdelu. Dostali takie zlecenie i wykonali je bez mrugnięcia okiem. To miało być ostrzeżenie dla tamtejszego miasta. Ale byli nieostrożni – zostawili przy życiu wielu świadków, a poza tym najpierw wypili kilka kolejek w barku, zostawiając na szklankach odciski palców.

Mój kolega wyskoczył na nich z mordą, że co oni sobie wyobrażają, że zaraz przyjadą antyterrorysty i wszyscy będą mieć problemy, więc Ruscy grzecznie podziękowali za gościnę i zniknęli. Jakiś czas później jeden z nich wpadł, bodajże w Berlinie, a dwaj pozostali pewnie wachają kwiatki od spodu.

I wiesz co? Oni z pewnością nie wywodzili się z żadnych służb. Po prostu taką mieli pasję i dar od niebios.

Kiedy Zbyszek skończył tę opowieść, przyszło mi do głowy, że prawdziwy z niego profesjonalista. Nie dość, że zabija bez pudła, to jeszcze ma niezłe podstawy teoretyczne – trochę filozofii, trochę wiedzy o innych cynglach, trochę znajomości natury ludzkiej.

To skoro tak go interesują ludzie, na chuj ich odpala? No ale może na tym polega fascynacja „po całości”...

LEPIEJ, GDY CYNGIEL MA WSPÓLNIKA

Dawno temu, jeszcze w połowie lat osiemdziesiątych, Koral i Święty byli dobrymi kumplami. Można nawet powiedzieć, że nierozłącznymi, i to w sensie dosłownym. Przez dwa lata leżeli pod jedną celą, bodajże we Wronkach. Jeden i drugi za włam z dziesioną, czyli nie dość, że kogoś okradli, to jeszcze mu trochę obili ryja. Oczywiście nie działali razem, jeszcze wtedy w ogóle się nie znali – jeden wpadł na południu, a drugi w centralnej Polsce. Poznali się już pod celą, naturalnie dla grypsujących, czyli prawidłowych gości, którzy nie podają ręki gadom i jadą z frajerstwem. Co to dokładnie znaczy, nie ma tu znaczenia, bo ja w ogóle uważam, że to całe grypsowanie i te ich zasady są na poziomie przedszkola, i to dla dzieci opóźnionych w rozwoju... Inna sprawa, że to właśnie grypsujący, kiedy zaczęło się tworzyć coś na podobieństwo mafii, wskoczyli na samą górę struktury. No i dlatego tak ona wyglądała, jak wyglądała. Profesorowie jakoś nie chcieli przejmować kierownictwa w grupach przestępczych.

Wracając do Korala i Świętego – więzienie bardzo ich zbliżyło i kiedy odpękali wyroki, Koral trochę wcześniej, a Święty pół roku później, na wolności znowu się zwachali i zaczęli latać razem. Mieli spore doświadczenie, poza tym każdy dysponował swoją ekipą, więc jak połączyli siły, stali się naprawdę mocną paczką. To już była końcówka lat osiemdziesiątych – w powietrzu wisiały zmiany i wszyscy wyczuwali, że dla gangsterów zaraz zacznie się eldorado. Koral na jakiś czas wyjechał do Berlina Zachodniego, w sumie na jakieś pół roku, żeby sobie narobić kontaktów, i kiedy wrócił, wiedział, jak wszystko zorganizować.

Koral i Święty weszli na grubo w przemyt kradzionych fur z Niemiec, a dodatkowo zaczęli rozprowadzać na północy amfę z Warszawy. Może tego nie wiesz, ale w tamtym czasie byliśmy potentatem w produkcji amfetaminy. W okolicach Warszawy znajdowała się fabryczka, która zaopatrywała pół Europy i jeszcze dodatkowo kilka wsi.

I gdy wydawało się, że duet podporządkuje sobie dużą część kraju, nagle coś się zaczęło pieprzyć – mniej więcej w 1992 roku Święty spiknął się z Krejzim, jednym z największych producentów amfy, i zaczął z nim kręcić lody, pomijając Korala. Z początku w miarę dyskretnie, na niewielką skalę, ale z czasem panowie rozwinęli skrzydła.

A Koral nie był miękkim fiutem robiony, więc szybko się o sprawie dowiedział i zaczął słać Świętemu joby – krótko mówiąc, zarzucił mu, że zachował się nieprzyzwoicie i niezgodnie z zasadami. Oczywiście domyślasz się, jakimi słowami to zostało wyrażone.

A Święty, który już czuł się bardzo mocny, zamiast położyć uszy po sobie, nagle zaczął kozaczyć i odgrażać się Koralowi – że nie jest, kurwa, jego żołnierzem i będzie robił, co mu się podoba, a podoba mu się tłuc hajs razem z Krejzim.

I Koralowi nic do tego.

Konflikt między nimi przechodził przez różne fazy – czasami wydawało się, że skoczą sobie do oczu, a potem szli na wódkę, coś tam sobie tłumaczyli i znowu byli kolegami. Ale wiesz, jak to jest – mleko się rozlało i chodziło o to, aby się na nim nie poślizgnąć. Tak czy inaczej, Korale już nie uważał Świętego za swojego przyjaciela, ale jednak przez długi czas tolerował jego nielojalność. Tym bardziej że chodziło jedynie o hajs, a nie o coś grubszego. No ale potem sytuacja się zaogniła.

Nie będę wchodził w szczegóły, powiem tylko tyle, że w pewnym momencie doszło do wojny między Koralem i Krejzim – to nie miało związku ze Świętym, ale ten ostatni musiał się opowiedzieć po którejś ze stron.

No i w końcu stanął za Krejzim, który wydawał się nieco mocniejszy od Korala. Dał mu też swoich chłopaków, czyli wsparcie było nie tylko symboliczne, ale jak najbardziej realne.

Podejrzewam, że dla Świętego to była bardzo trudna sytuacja i najchętniej spierdoliłby na koniec świata, byle tylko nie brać udziału w wojnie swoich dwóch kumpli. No ale ja zawsze powtarzam: grupa przestępcza to nie kółko różańcowe i czasami trzeba pojechać na ostro, ze wszystkimi konsekwencjami.

A konsekwencje były takie, że Korale zebrał swoich chłopaków – ja też tam byłem – i powiedział:

– Koniec głaskania się po jajach. Trzeba pojechać ze Świętym. Niech sobie zostanie męczennikiem, jak przystało na świętego.

Kto miał wykonać wyrok? A jak myślisz?

Korale zdecydował, że Święty odejdzie z przytupem – w kawałkach. Czyli że nie zostanie puknięty, tylko wysadzony w powietrze.

Zabójca miał zastosować stary patent, z którego korzystało wiele grup przestępczych – pół kilo trotylu mocowało się na klamce drzwi wejściowych i gdy klient próbował wejść do domu, od razu wskakiwał na poziom wyżej, czyli do nieba. Oczywiście ładunek był mocowany od drugiej strony, tak żeby właściciel domu nie zorientował się, że ktoś mu dospawał małe kuku.

Dlatego w takiej akcji często brało udział przynajmniej dwóch ludzi – pierwszy był specem od włamów, a drugi od pirotechniki. W przypadku Świętego ja miałem być tym drugim, a Dino – chłopak z naszej ekipy, który miał na koncie chyba z setkę włamań i jeden wyrok z tego tytułu – tym pierwszym.

Trochę mnie to zdziwiło, że na akcję wysłała się nas dwóch, skoro sam Dino mógłby zawiesić ładunek. Ale Korale powiedział krótko:

– Każdy jest specem od czegoś innego. Dino jest świetnym klawisznikiem, a ty dasz radę z trotylem.

Klawisznik to złodziej mieszkaniowy, jakbyś nie wiedział.

Spytałem, czemu właśnie ja, skoro nigdy nie bawiłem się w sapera, ale Koral nie widział problemu:

– To żadna filozofia, ktoś ci pokaże dokładnie, jak to zainstalować, żeby jebnęło, kiedy dziwka otworzy drzwi.

Dziwka – jeszcze nigdy tak nie mówił o Świętym.

– To czemu ten ktoś nie może zainstalować? – spytałem.

– Tak to już jest na wojnie. Jeden konstruuje bombę, a drugi, czyli żołnierz, podkłada.

A potem popatrzył na mnie tym swoim przemądrzałym wzrokiem profesorka od siedmiu boleści i zrobił mi krótki wykład z zarządzania grupą przestępczą:

– Ja chcę, żebyś ty pojechał do Świętego i zrobił co trzeba. To nie może być byle kto, ale ktoś, z kim pracuję już od dawna i komu ufam. Ciebie, kurwa, znam już kapkę i wiem, że jakby co, nigdy się nie rozprujesz. Jakiś inny frajer toby od razu podał na papier, jakby z nim psiarnia pocisnęła. A jeśli chodzi o to, dlaczego nie sam Dino, to ja ci powiem tak: czasami lepiej, kiedy cyngiel ma współnika. Wiesz, wtedy nie do końca wiadomo, kto jest zabójcą: i on ma w tym udział, i ty masz. On otwiera dom, ale po to, żebyś ty założył bombę. Czyli wie, po co tam pojechaliście. Nie ma wała: w razie wpadki ma zarzut z głowy. Nie podżegania, ale zabójstwa. Czyli jemu zależy, żebyś ty trzymał mordę w kubek, a tobie, żeby on. Teoretycznie, gdybyś pojechał w pojedynkę, wtedy nie musiałbyś się obawiać, czy Dino się kiedyś nie rozpruje. Ale powiem ci: jakby co, ty masz go w garści, a on ciebie. On ma jeszcze kogoś innego, ty jeszcze kogoś innego, ktoś ma haka na Dino, ktoś ma haka na ciebie i tak koło się zamyka. Nikt nie jest święty, wszyscy są umoczeni. Wspólna lista płac, każdemu zależy, żeby nikt nie chlapał jęzorem. Grupa, po prostu. Grupa przyjaciół aż do grobowej deski.

Koral skończył ten swój szemrany monolog, a ja pomyślałem sobie, że nie powiedział najważniejszego. Koło się zamyka, ale on jest jeszcze nad tym kołem i dzięki tej sieci powiązań ma nad nim pełną władzę.

Przynajmniej w teorii.

ROMANTYCZNE ŚWIATŁO SEMAFORA

Ładunek mieliśmy założyć o świcie. Wiedzieliśmy, że Święty pojechał z przyjacielską wizytą do Krejzego i chata będzie wolna. Tak się składało, że kobiety Świętego też nie było w domu – miała taki zwyczaj, żeby raz w miesiącu jechać z koleżankami do jakiegoś spa nad morzem, niby na masaże i zabiegi upiększające, a prawda była taka, że chlały na umór i robiły loda wszystkim wokół. Święty udawał, że nic o tym nie wie, ale na pewno wiedział, bo nawet one same specjalnie się z tym nie kryły. Tak czy inaczej, willa była pusta i wystarczyło się do niej włamać – Święty postawił ją niewiele wcześniej i jeszcze nie miała wystarczających zabezpieczeń. To znaczy zamki na pewno były bardzo solidne, ale o żadnych alarmach i tego typu bajerach nie było mowy. Co więcej, dom był na odludziu i do tego otoczony wysokimi drzewami – Świętemu zależało, żeby nie mieć za blisko sąsiadów. Bo po pierwsze nie lubił frajerstwa, a po drugie obawiał się, że nie zobaczy w porę antyterrorystów, gdyby przyszła im ochota na szturm. Bogiem a prawdą, każdy gangster musi być gotowy na szturm i na to, że kominiarze położą go na ziemi. Lato czy zima, nie ma znaczenia – im większe błoto czy śnieżna chlapa, tym lepiej dla psów. Mają większy ubaw. Musisz leżeć ryjem do ziemi, i to nie minutę czy dwie, ale czasami nawet godzinę, a jeśli akurat jest mróz, to do końca życia będziesz miał plamy na skórze. Albo ci odpadnie ucho.

W każdym razie Dino cały czas mi powtarzał, że wejdzie jak w masło. Wystarczy mu kilka minut, żeby znaleźć jakiś słaby punkt w zabezpieczeniu.

W noc przed włamaniem poszliśmy do nocnego klubu „Fatamorgana” – modnego miejsca, gdzie bez problemu można było kupić dobrą kokę, dżambę z Maroka, ostre felgi, czyli ecstasy (sam im ją rzucałem). Zawsze bawiły się tam takie dzagi, że robiło się gorąco na sam ich widok. I nie zawsze musiałeś płacić – wystarczyło, że wpadłeś im w oko, a na chłopców z miasta zawsze miały ochotę.

Tego wieczoru też wygrzewały fotele całym stadem – było co najmniej kilkanaście lasek, które dobrze znałem i które znały chłopców z miasta. Wśród nich dostrzegłem Jowitę – dziewczynę może nie zjawiskowo piękną, może nie zrobioną na jakieś szczególne bóstwo, ale mającą to coś, co powodowało, że nie musiała się dodatkowo upiększać. Powiem więcej – gdyby się upiększała, gdyby się tleniła i smażyła na solarce, straciłaby to „coś”. Miała długie włosy, chyba ciemny blond, takie myszowate, ale nie jestem specem od kolorów, śliczne sarnie oczy i lekko zadarty nosek. Gdyby jeszcze miała ładniejsze zęby... W skali od jednego do dziesięciu dałbym siódemkę. A nawet siódemkę z plusem.

Jowitka, podobnie jak jej koleżanki, nie miała nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu bzyknąć się z którymś z nas, choć akurat ja wcześniej nie miałem z nią okoliczności. Ale hajsu za to nie brała – nie była dziwką, a jedynie panienką lekkich obyczajów w sensie dosłownym. Nie wiem, kto wpadł na ten debilny

pomysł, żeby kurwy określać mianem panien lekkich obyczajów – kurwy mają ciężkie obyczaje: harują uczciwie (choć i w tym fachu trafiają się zakały), niekoniecznie mają z tego jakąkolwiek przyjemność, nawet powiedziałbym, że bardzo w to wątpię, a potem każą bulić i nie ma zmiłuj. Nawet jak z nią pociśniesz, ona dalej będzie powtarzała swoje: poruchałeś, to płąć. Czepnie się jak rzep psiego ogona i w końcu dopnie swego.

Dziewczyny takie jak Jowitka mają zupełnie inne podejście do tych spraw: cieszą się życiem, oddają się chętnie i jadą po całości – dla nich nie istnieje żadne tabu, żadna granica, której nie wolno przekroczyć. A przecież nawet kurwy mają swoje zahamowania – często słyszysz od takiej: seks tak, ale całowanie – nie! Że niby cipa jest na handel, a usta i języczek – tylko dla ukochanego. A co to za seks bez całowania?

Tymczasem Jowitki, jeśli tylko będą miały taką fantazję, zaprowadzą cię do bram raj u i udowodnią, że raj to wcale nie jest szczyt szczęścia; że można ugrać o wiele więcej...

Tak jak powiedziałem, tego typu laski nie biorą hajsu za seks, bo uprawiają go dla przyjemności, ale generalnie hajs i ładne rzeczy lubią, więc nie wzbraniają się, jeśli ten czy ów czasem im coś wciśnie. Niby nie za usługi erotyczne, tylko na zasadzie prezentu od przyjaciela. Na przykład parę stówek na jakiś fajny ciuch – ot tak, bo mam taką fantazję i bardzo mi zależy, żeby Jowitka pięknie wyglądała. No to jak ona może odmówić?

Albo w jeszcze innej formie. Powiedzmy, że Jowitka zadłużyła się u jakiejś koleżanki, bo potrzebowała pieniędzy na kosztowny zabieg kosmetyczny. Albo na prywatnego lekarza dla chorej matki. Życie jest drogie i często zaskakuje. No więc zadłużyła się, ale nie jest w stanie na czas oddać. Koleżanka ciśnie, ale co może zrobić, skoro Jowitka po prostu nie ma hajsu? Robi więc to, co jej przychodzi do głupiego łebka – prosi kolegę o pomoc i ten zaczyna dojeżdżać Jowitkę po gangstersku. Oczywiście to jest zwykły leszcz, a nie gangus, ale na słabej Jowitce robi to jednak wrażenie. Grozi, czasem, w ostateczności, nawet posunie się do rękoczynów.

No ale od czego Jowitka ma nas? Tak do końca za darmo nie robi nam dobrze – wie, że jeśli znajdzie się w jakiejś krytycznej sytuacji, zawsze może na nas liczyć. Więc idzie do takiego jak ja i zwierza się z problemu.

I wtedy co taki jak ja robi? Skrzykuje ekipę i tego samego dnia zawija agresora. A agresor, jak tylko znajdzie się w bagażniku, od razu przestaje być agresorem i zamienia się w słodkiego kociaczka, który przecież nie jest niczemu winien, on tylko żartował, on by w życiu Jowitki nie skrzywdził. Poprosiła go dziewczyna o przysługę, a przecież ukochanej się nie odmawia.

Co racja, to racja, ale jednak mleko się rozlało i gość musi dostać lekcję wiedzy o społeczeństwie. W najbliższym lesie – to nie musi być żadna knieja,

wystarczy kilka drzewek, i tak przypadkowi przechodnie nie staną w jego obronie – twarz kolesia zamienia się w befsztyk tatarski. A jako że korepetycje są płatne, dostaje karę, powiedzmy dwa koła papy. I grzecznie rozchodzimy się do domu. Jeśli hajsu nie będzie, to dopiero wtedy zaczną się prawdziwe problemy. Takie do drugiego pokolenia wstecz... Jednak przeważnie każdy gość, który próbuje kręcić się po mieście, ma gdzieś skitrane kilka koła, tak na czarną godzinę. No!

Tyle teoria. Ale tego wieczoru Jowitka nie wyglądała na taką, którą ktoś by czymś zadręczał. Jak zawsze tajemniczo uśmiechnięta i wpatrzona w jakiś odległy punkt na suficie, chętnie przyjęła zaproszenie na drinka. Co więcej – to ona była stroną inicjatywną, pierwsza powiedziała:

– Cześć, Czerwony, fajnie, że cię widzę.

Gdy spytałem, dlaczego fajnie, odparła pytaniem:

– A dlaczego nie?

Niezła podpucha, pomyślałem. Ciekawe, jaki będzie ciąg dalszy.

Poszedłem do baru, zamówiłem dla niej Cosmopolitana, sobie wzięłem łyskacza na dużym lodzie i wróciłem do łóży, gdzie na mnie czekała. W sumie wypiliśmy trzy kolejki – dla mnie to było tyle co nic, ale jej najwyraźniej zaszumiło w głowie. Z każdą chwilą coraz bardziej się do mnie tuliła i miałem wrażenie, że jakbym ją trochę popieścił, toby mi się oddała na kanapie. Ale może się mylę – Jowitka nie była z tych, co się prują na widoku, i raczej preferowała sytuacje bardziej romantyczne. Nie twierdzę, że musiało być przy świecach, ale na pewno w jakichś kameralnych okolicznościach przy słabym świetle. Na przykład czerwonym czy pomarańczowym, tak dla podkreślenia nastroju.

W końcu zaproponowała, że chce się przejechać samochodem – jak poczuje wiatr we włosach, od razu przejdzie jej zamulenie. Nie wiedziałem, czy chce się bzykać, czy wręcz przeciwnie – wytrzeźwieć, ale uznałem, że skoro prosi, nie ma powodu, abym odmawiał. Powiedziałem tylko Dino, że się na chwilę ukręcę, ale wrócę w ciągu godziny. Nie pękam, tylko chcę się rozerwać. Puścił do mnie oko i wrócił do bajerowania lasek przy barku.

Miałem wtedy auto Audi 80 w wersji 2.0 E Quattro – starego grata z początku lat dziewięćdziesiątych, ale jeszcze bardzo zdrowego i z petardą w silniku. Wiedziałem, że jeśli opuszczę szyby, a potem rozpędzę się na prostej, to Jowitka poczuje wiatr we włosach, jak chciała, a w gratisie mogę jej łeb urwać.

Ale kiedy już wyjechałem na prostą, powiedziała, że wcale jej nie zależy na szybkiej jeździe. Po prostu chciała się wyrwać z klubu, w którym nie czekało jej już nic innego niż durne rozmowy z koleżankami o kosmetykach, ciuchach i środkach antykoncepcyjnych, a potem nagabywania ze strony chłopaków. A ona, rzekomo, nie miała na to ochoty. Chyba żeby...

– Chyba żeby co? – zainteresowałem się.

– Chyba żeby było inaczej niż zwykle...

– A jak to jest inaczej niż zwykle?

– Nie wiem. – Jowitka wzruszyła ramionami. – Po prostu inaczej...

Spytałem, czy mam tak krążyć po mieście, czy pojechać w jakieś określone miejsce. Zaproponowała, żebyśmy pojechali w okolice przejazdu kolejowego, przy ogródkach działkowych. Tam jest cicho, spokojnie, będziemy mogli pogadać.

Nie miałem pojęcia, dlaczego ona chce ze mną gadać i dlaczego akurat na odludziu, ale nie widziałem powodu, żeby protestować. Skręciłem w boczną ulicę i po przejechaniu kilkuset metrów zaparkowałem niedaleko nasypu kolejowego. W sumie pasował mi taki rozwój wypadków – wprawdzie nie czułem wypitej whisky, ale z pewnością policyjny alkomat by wyczuł, gdyby psy nas zhaltowały. A tak nie miały powodu, żeby nas niepokoić.

Próbowałem coś gadać do Jowitki, ale ona zaczęła mnie całować – i to jak! Zupełnie jakby wcześniej obejrzała jakiegoś pogładowego pornosa. Potem położyła mi rękę między nogami i kiedy wyczuła, że jestem gotów do akcji, zaczęła mi rozpinać rozporek. Zaskoczyła mnie biegłość, z jaką to wszystko robiła – nie da się nabrać takiej wprawy, oglądając pornosa. Było jasne, że taką sytuację przerabiała bardzo często i być może właśnie w tym miejscu. Tak jak powiedziałem – Jowitka preferowała warunki kameralne, trochę romantyczne. Tutaj było cicho, doskonale słyszeliśmy swoje oddechy, a czerwone światło płynęło do nas od semafora. Harlequin doskonały, można powiedzieć.

Niestety, trochę się namęczyła, zanim w końcu szczytowałem – może jednak wypłem kapkę za dużo, a może gdzieś, w głębi, hamował mnie stres związany z tym, co miało nastąpić za kilka godzin. Niby na moment zapomniałem o Świętym i jego zbliżającym się końcu z mojej ręki, ale pewnie ta świadomość ciągle we mnie tkwiła i trzymała mnie za jaja.

Jednak dobra zawodniczka zawsze sobie poradzi w takiej sytuacji – jeśli nie czułością czy wyuzdaniem, to ostrą jazdą. Tak sterroryzowała mój instrument, tak go wymęczyła, że chciał nie chciał, ale musiał się poddać.

Kiedy w końcu wystrzeliłem, opadłem na fotel, a ona otworzyła okno i wypluła to, co jej podarowałem. Trochę mnie to wkurwiło, by nie powiedzieć – upokorzyło, bo inne dziewczyny tak się nie zachowywały, no ale może właśnie na tym polegała wyjątkowość Jowitki?

Wyjęła z torebki papierosa, takiego cienkiego, mentolowego, i zapaliła.

– Wyluzowałeś trochę? – spytała z uśmiechem. Zdziwiło mnie to pytanie, bo nie sądziłem, że mój stres jest aż tak widoczny.

– Jestem spokojny.

– Długo nie mogłeś skończyć...

– Wiesz, to chyba wina whisky, wypłem o jedną szklanekę za dużo, no i tak wyszło... – próbowałem się tłumaczyć.

Pokręciła głową:

– Pewnie ciągle myślisz o robocie...

Zdrętwiałem. A nawet poczułem zimne dreszcze. Skąd ona wie o jakiejś robocie? W ogóle co tu jest grane? Wrywa mnie w klubie, każe mi jechać na jakieś zadupie, robi mi loda, a potem mówi, że wie o robocie. O co chodzi? Popatrzyłem na nią, ale żadne sensowne pytanie nie przychodziło mi do głowy. W końcu rzuciłem niby od niechcenia:

– Jakiej niby robocie?

– Tej, co ci ją Koral zlecił.

Aha, no to, kurwa, pięknie. Akcja top secret, nikt nic nie wie, ale Koral lata po dziwkach i im opowiada, że Czerwony jedzie odpalić Świętego.

– Co wiesz o tej robocie?

Wzruszyła ramionami.

– Nic, mam na to wybudowane. Koral powiedział, że idziesz na robotę i trzeba cię trochę zmotywować. Ja nigdy o nic nie pytam, nie moja sprawa. Lubię robić loda i... lubię ciebie. Ale ty nic sobie nie wyobrażaj, żadna ze mnie lovestorantka. Zaraz odwieziesz mnie do klubu i będziemy się zachowywać, jakby nic się nie wydarzyło.

– Naprawdę nic nie wiesz?

– Nie, i nawet nie chcę...

– Koral dał ci coś za to?

– Dał, nie dał... zawsze się jakoś rozliczamy. – Jowitka uśmiechnęła się szelmowsko.

– Skąd wiedział, że będę w klubie?

– Widocznie ma chłop intuicję. Nie wiedział, ale przeczuwał. Powiedział mi: „gdyby się pojawił”. Nie mówił, że będziesz na pewno.

Aha, czyli dostałem prezent od bossa – w sumie powinienem być mu wdzięczny, ale jakoś uznałem, że za bardzo wpierdala się z butami w moje życie. Załatwił mi panienkę, zupełnie jakbym był dzieckiem opóźnionym w rozwoju i trzeba by było mnie prowadzić za rękę przez ulicę i płacić kurwom za moją inicjację seksualną.

Ale nie chciałem się rzucać, a już na pewno nie przy Jowicie. Przekręciłem kluczyk w stacyjce i wcisnąłem gaz – silnik zawył jak ranny łoś. Kocham ten ryk, kocham sportowe fury, kocham życie!

Kilka minut później byliśmy w klubie. Dino słał się na nogach i nie wyglądał na gościa, który jedzie kogoś odpalić. Sam wyglądał na ofiarę egzekucji...

CIASTKO Z NIESPODZIANKĄ

Kiedy ruszaliśmy na akcję, wydawało nam się, że możemy góry przenosić. Ale jakby ktoś oglądał film z nami w rolach głównych, miałby niezły ubaw. Po powrocie z klubu – po tym, jak Jowitka zrobiła mi dobrze – wypłem jeszcze kilka szklaneczek i jadąc pod dom Świętego, miałem problemy z utrzymaniem samochodu na jezdni. Co rusz zjeżdżałem na pobocze i coraz częściej przychodziło mi do głowy, że jednak nie dojadę na miejsce – albo rozwalę się na drzewie, albo zawinie mnie jakiś lotny patrol.

Podczas kiedy ja naprawdę martwiłem się o powodzenie naszej akcji, Dino sprawiał wrażenie człowieka zadowolonego z życia i zupełnie obojętnego na moje problemy z prowadzeniem auta.

Siedział wygodnie rozparty na fotelu obok mnie i bełkotał o pewnej Magdzie, z którą rozmawiał w klubie – i najwyraźniej miał ochotę, aby ta rozmowa rozwinęła się w kierunku seksualnym. Znałem Magdę i wiedziałem, że nie ma oporów przed pójściem do łóżka, nawet z dwoma facetami naraz, ale nie byłem pewien, czy akurat Dino stanowił obiekt jej westchnień. Jak by to ująć – Dino był dość nisko w hierarchii i bzyknięcie się z nim nie mogło stanowić dla laski powodu do dumy. A przecież wiadomo było, że jak taka dupa poszła z gościem do wyra, to potem leciała na miasto i chwaliła się, z kim to ona się nie gziła! Wiem, że to brzmi głupio, ale to był jednak dla dziewczyny jakiś prestiż, jeśli zabawiała się z kimś wysoko w hierarchii.

Ale Dino najwyraźniej nic sobie z tego nie robił, bo siedział obok mnie i pieprzył trzy po trzy:

– Wiesz, jak ja bym tę Madzię puknął? W każdy otwór cztery razy po dwa razy i nad ranem jeszcze raz... – I inne teksty w tym stylu.

Słowotok urywał się tylko wtedy, kiedy wstrząsała nim czkawka albo kiedy chciał mi pokazać, jak będzie nadziewał Madzię, i ruszał rytmicznie biodrami.

Z takim idiotą dawno nie miałem okazji jechać samochodem. Sam też byłem nie lepszy, bo przecież nie miałem prawa uchlać się przed akcją. No ale tak wyszło! A o spartoleniu roboty nie było mowy.

Kiedy podjeżdżaliśmy w okolice świeżo otynkowanej willi Świętego, było jeszcze ciemno, ale dzień już się budził i na wykonanie roboty mieliśmy nie więcej niż czterdzieści pięć minut.

Zaparkowaliśmy jakieś sto metrów dalej – tak żeby moje audi było niewidoczne z willi. Wprawdzie wiedzieliśmy, że nikogo w domu nie ma, a w pobliżu nie było innych domów, ale woleliśmy zachować ostrożność. Dodatkowo poprzedniego dnia zmieniłem blachy i miałem numer rejestracyjny zaczynający się od WV – do Świętego jechałem jako mieszkaniec Wołomina. A co, jak odpalać, to z przytupem. Myślałem też o pruszkowskich blachach, ale stanęło

na wołomińskich – w sumie co za różnica?

Wysiedliśmy i ruszyliśmy w stronę domu, rozglądając się na boki. Szedłem w miarę prosto, Dino też, ale najwyraźniej cała akcja go nie interesowała. Cały czas gadał o Madzi i jej obfitym biuście, a mnie brał taki wkurw, że miałem ochotę wpierdolić mu ten trotyl do pyska i odpalić. Pewnie by nawet nie zauważył.

No ale miałem wyłącznie porcję dla Świętego – przywieźli mi ją do domu pakerzy. Podobno Korał kupił ją od pewnego wojskowego, z którym współpracowaliśmy. Facet wiedział, z kim ma do czynienia, ale że dobrze płaciliśmy, czasami podrzucał nam jakąś zabawkę. Nie wiem, czy to prawda – w tamtym czasie zdobycie ładunku wybuchowego nie stanowiło większego problemu i nie trzeba było szukać znajomości w armii.

Będę się streszczał – Dino uznał, że wejdziemy przez okno, a najlepiej przez drzwi balkonowe. Mieliliśmy ze sobą lekką drabinę, po której wdrapaliśmy się na wysokość piętra. Nie tłukliśmy szyby, bo ktoś mógłby usłyszeć, poza tym odłamki mogłyby nam zrobić kuku.

Dino wbił potężny śrubokręt pomiędzy drzwi balkonowe a framugę, trochę nim poruszał i po chwili dom stał przed nami otworem. Święty chyba nie wierzył, że ktoś się odważy włamać do niego, i zafundował sobie tak liche zabezpieczenia, że aż byliśmy zniesmaczeni. Naprawdę – nie można prowokować losu, szczególnie jeśli uprawia się niebezpieczny zawód gangstera.

Kiedy już byliśmy w środku, w Dino odezwał się stary klawisznik – zaczął nalegać, żebyśmy przetrzasnęli chałupę i wzięli sobie jakieś fanty: fingle, złoto, może dolary... Przecież Świętemu i tak już do niczego nie będą potrzebne – argumentował, ale ja byłem temu przeciwny. Przyjechaliśmy wykonać wyrok, a nie okradać gościa. W tym momencie nie jesteśmy złodziejaskami, tylko cynglami. A poza tym nie mamy czasu na szukanie fantów. Zakładamy ładunek i zrywamy się.

Zresztą ten dom był dopiero urządzany i podejrzewałem, że za wiele fantów się w nim nie znajdzie. Co najwyżej jakieś krany i umywalki do zamontowania.

Zbiegliśmy po schodach i zatrzymaliśmy się przy drzwiach wejściowych – wyciągnąłem z torby zabawkę, która miała posłać Świętego do wszystkich diabłów, i zgodnie z instrukcją, którą przekazał mi pewien spec od Korała, zacząłem mocować ją przy klamce. Poruszenie jej od strony zewnętrznej miało „ożywić” zapalnik i wywołać takie łubu-du, jakiego w tej okolicy nie słyszano od czasów drugiej wojny.

Gdy spieraliśmy się z Dino, jak najlepiej umieścić ładunek – wyżej, niżej, trochę w lewo, trochę w prawo – nagle do naszych uszu dobiegł odgłos syreny policyjnej. Zamarliśmy – czyżby ktoś zobaczył włamanie? Albo gorzej: może ktoś puścił farbę o zamachu? Może rozpruł się ten wojskowy, który zaopatrywał nas w sprzęt? Tak czy inaczej, nie było czasu na zastanawianie się – trzeba było

skończyć mocowanie ładunku i spierdalać w podskokach.

Tak też zrobiliśmy – chwilę później już siedzieliśmy w moim audi i rozglądaliśmy się na boki. Tymczasem policyjna syrena umilkła równie szybko, jak się pojawiła – to był fałszywy alarm, psy pewnie jechały do jakiegoś wypadku, ale przynajmniej spowodował, że szybko zrobiliśmy, co do nas należało.

Kiedy jechaliśmy spokojnie w stronę centrum miasta, Dino znów zaczął pierdolić o tej swojej Madzi – jak to ją będzie dmuchał, kiedy wreszcie ona mu na to pozwoli. A pozwoli na dniach – już niedługo wszyscy na mieście będą wiedzieli, kto odpalił Świętego, i pójdzie do wyrka z takim gościem to będzie nie w kij dmuchał.

Zatrzymaliśmy się w pierwszym napotkanym barze. Usiedliśmy i zamówiliśmy po kawie – żaden z nas nie miał ochoty na nic mocniejszego. Do kawy, obowiązkowo, po kielbasce z patelni. Spędziliśmy tam z godzinę, zastanawiając się, jak to będzie na mieście, kiedy zabraknie w nim Świętego.

Wjeżdżaliśmy już na pierwsze rondo i wtedy Dino zapytał, niby to żartem:

– Oczywiście nie zapomniałeś uzbroić ładunku?

Oż kurwa...

Oczywiście, że zapomniałem. A on nie mógł pamiętać? Dlaczego Koral podrzucił mi takiego dupka? Gdyby był trzeźwy i nie myślał wyłącznie o dupie Maryni, tylko skoncentrował się na robocie, wszystko poszłoby dobrze. Ja też trochę wypilem, fakt, ale przynajmniej myślałem o zadaniu, a nie o wszystkim innym.

O powrocie do domu Świętego nie było mowy – być może nawet ktoś już się zorientował, że było włamanie. Może nawet dostrzegł coś dziwnego w okolicach klamki drzwi wejściowych.

Co było potem, lepiej nie mówić. Znów okazałem się leszczem, ale jakoś udało mi się przekonać Korala, że tym razem zawiniły okoliczności. Powiedziałem, że psy podjechały pod sam dom i stały na sygnale przez kilkanaście minut. Tak jakby ktoś puścił farbę. Cudem wydostaliśmy się z domu, przez okna z tyłu, ale nie uzbrajaliśmy ładunku, bo gdyby zginął jakiś pies albo kilka psów, to byłaby chryja na cały kraj.

Święty zginął miesiąc później – tym razem ciastko z niespodzianką położono mu pod samochodem. Nie wiem, kto był odpowiedzialny za tę egzekucję. Podobno w akcji brał udział Dino, przynajmniej sam tak sugerował, ale jeśli już, to co najwyżej stał na „lipie”, i to jak najdalej od samochodu Świętego. Żeby znowu czegoś nie spierdzielić...

W gazetach pisali o tym przez kilka miesięcy – podejrzewano wiele grup, z którymi Święty miał konflikt; oczywiście Koral też był w kręgu zainteresowania policji, ale nic na niego nie mieli. Najzabawniejsze było to, że węższono także wokół Krejzego – ostatecznie prowadził interesy ze Świętym, a kto powiedział, że

interesy zawsze muszą być dobre i zacieśniać przyjaźń kontrahentów?

Kilka osób zatrzymano, niektóre na dłużej, próbowano na siłę komukolwiek ten łeb dospawać, ale brakowało nawet kiepskich dowodów.

W końcu machnięto na to ręką – na mieście, i to w całym kraju, ruszyła fala podobnych zabójstw, chłopcy jeździli na wycieczki do lasu i przeważnie już nie wracali. Polała się krew szerokim strumieniem. Ktoś pewnie uznał, że jeden Święty więcej, jeden Święty mniej to dla nikogo nie stanowi problemu.

JAK WOJNA, TO WOJNA

Żebyś tylko nie pomyślał sobie, że wszystkie nieudane zamachy to ja. Takich cyngli, którzy strzelali na wiwat, było znacznie więcej. I nie chodzi o to, że zabicie człowieka to jakaś wielka sztuka, ale tak jak w każdej robocie: potrzebna jest odrobina fartu. Nawet jeśli jesteś dobry w te klocki, umiesz posługiwać się sprzętem i spędziłeś ileś tam godzin na strzelnicy. Człowiek to nie jest tarcza – nie mierzysz do niego tak, jak się mierzy do nieruchomego punktu. Nawet jeśli gość faktycznie się nie porusza i masz wystarczająco dużo czasu, żeby się przygotować i go jebnąć. Bo choćby to był śmieć, którego nie warto nawet kopnąć, to jednak jest istotą ludzką i zawsze ręka zadrży. Nawet nie dlatego, że ci szkoda tego śmiecia – bo miejsce śmiecia jest na śmietniku – ale dlatego, że ty będziesz miał coś wspólnego z jego śmiercią. To o ciebie chodzi w tym drzeniu ręki, a nie o tego frajera. Kiedy do niego mierzysz, to wasze drogi jakoś tak dziwnie się zaplatają i masz poczucie, że jak mu wyjebiesz pestkę w łeb, to ta pestka w jakimś sensie wróci rykoszetem do ciebie. Wbije ci się w mózg i będziesz ją nosił w sobie do samego końca.

Tyle teoria – w praktyce ludzie są różni i jeden będzie rozdzierał szaty, a drugi nie będzie się mógł doczekać kolejnej rozwałki. Bo musisz wiedzieć, że zabijanie wciąga, uzależnia. Zabiłeś raz i od razu zaczynasz sobie stawiać pytanie, czy byłbyś w stanie zrobić to po raz drugi. I czy tak samo będziesz bezkarny? Bo w sumie o to chodzi – odjechać i... pozostać na wolności.

Ale do rzeczy. Takich, którzy pojechali odjechać gościa i wrócili z pustymi rękami, było naprawdę wielu. Myślę nawet, że więcej egzekucji skończyło się kichą niż sukcesem. Z różnych powodów – raz zawiódł sprzęt, a innym razem człowiek. Czasami przeciwnik okazał się zbyt trudnym celem, a czasem miejsce egzekucji było nieodpowiednie – bo świadkowie, bo za dużo przypadkowych przechodniów, którzy mogliby ucierpieć, bo za ciemno, bo burza z piorunami i tak dalej.

Do strzału musisz mieć odpowiednie warunki. Opowiem ci pewną historię, w której ja nie brałem udziału, tylko chłopaki z naszej grupy.

Jednym z konkurentów Korala był Gruby – facet, który na początku latał z nami, ale miał wielkie ambicje, więc szybko się odłączył. Jako że rozstał się z Koralem w miarę pokojowo i zgodził się płacić mu jakąś tam działkę ze swoich interesów – oczywiście tylko wtedy, kiedy wchodził na nasz teren – nic nie zapowiadało wojny. Oczywiście w mafijnym świecie nigdy nie wiesz, kiedy i z jakich powodów wybuchnie wojna – choć wiadomo, że zawsze chodzi o hajs, nigdy o jakieś pieprzone zasady czy jeszcze bardziej pieprzony honor – więc konfliktu z Grubym można się było spodziewać. Ale tylko na tej zasadzie, że każdy był potencjalnym wrogiem.

No ale potem sytuacja się zmieniła...

Powiem tak – Gruby, choć obiecał, nigdy nie dał naszym działki. Bo uznał, że tam, gdzie działa, to jego terytorium, a Koral tylko uzurpuje sobie do niego prawo. Nie chodziło o wielki hajs, tak naprawdę Gruby haraczował jakieś płotki, jakieś salony gry, z których nie było kokosów, ale jednak to nie on decydował o tym, czy zapłaci, czy nie. Skoro panowie się dograli, że Gruby musi odpalać jakąś część, to nie miał prawa samowolnie z tego rezygnować.

Było kilka pyskówek, w końcu doszło do rozkminki – nasi i ludzie Grubego spotkali się na parkingu przy jakimś hipermarkecie. Koral zmontował mocną grupę, bo to miała być demonstracja siły, a nie jakieś głaskanie po jajach. W sumie z naszej strony przyjechało sześć samochodów, większość mercedesów, a w każdym siedziało po pięciu chłopca. I to nie ułomków – Koral wyselekcjonował najpotężniejszych chłopaków o najbardziej niewyględnych gębach. Prawie wszyscy byli ubrani w czarne skórzane płaszcze, spod których wystawały kopyta i gładkolufowe mossbergi. No, powiem ci, ekipa wyglądała jak wyciągnięta z amerykańskiego filmu. Podejrzewam, że jeśli ktoś patrzył na to z boku, to pewnie sobie pomyślał: Hollywood kręci film! I to nie byle jaki.

Korala nie było pod hipermarketem, bo pewnie uznał, że nie będzie robił frajerowi zaszczytu swoją obecnością i do rozmów z nim wyśle swojego zastępcę. Tym zastępcą był Rabin – chuj wie, skąd taka ksywka; na pewno nie miał nic wspólnego ani z judaizmem, ani z żadną inną religią. Tak czy inaczej, to Rabin kierował akcją na miejscu.

Zaraz po ludziach Korala na parkingu pojawili się chłopcy od Grubego, z nim samym na czele. Przyjechali w znacznie skromniejszej sile: trzy samochody, raczej strucle, i w sumie chyba ośmiu ludzi. Ewidentnie nie byli gotowi na konfrontację, chcieli tylko pogadać.

Ale mimo wszystko prowokowali. Kiedy kilku od Korala podeszło do Grubego, ten zawołał:

– Cześć, dziewczynki! – A to jest duża zniewaga...

Rabin nie dał się sprowokować i nawet nie sięgnął po komin. Odparł tylko:

– Cześć, cwele, jak tam pupy, bolą?

I faktycznie, tym razem skończyło się na gadce. Rabin posłał Grubemu kilka chujów, a Gruby wyzwiał Rabina i Korala od dziwek i frajerów. Zapewnił też, że nikomu nie będzie się opłacał, bo nie widzi takiej potrzeby, a jak ktoś mu podskoczy, to on mu urwie łeb.

Na co Rabin zripostował, że Gruby jest za krótki na Korala, i w ogóle jest krótki, i jeśli nie zmądrzeje, jego kariera nie potrwa długo.

Po tych słowach strony się rozeszły i do kolejnej rozkminki nigdy już nie doszło.

Jakiś czas później Koral postanowił sprawdzić poprawność swojego nowego

wroga i wysłał do niego ekipę po haracz. Ale to nie były żadne koty, tylko dwóch zwyczajnych złodziejasków, których – teraz jestem tego pewien – Koral postanowił poświęcić. Albo inaczej – których zdrowie rzucił na szalę.

Rzeczywiście – ludzie Grubego zawinęli posłańców i zabrali ich na wycieczkę tematyczną pod hasłem: „Poznaj polskie lasy”.

Wielkiego maltretowania nie było, ale jeden z nich miał połamany nos, a drugi poparzoną twarz. Oblali mu ją wrzątkiem, co w tamtym czasie stanowiło popularną atrakcję wypadów do lasu.

Posłańcy wrócili z jasnym przekazem: Gruby nie będzie płacił i jest gotów na prawdziwą wojnę.

Jak wojna, to wojna...

Ustalono, że Gruby zginie na widoku – może nie w samym centrum miasta, ale jednak w miejscu publicznym, na ulicy. Po co? Po to, żeby jego grupa i wszyscy inni zrozumieli, że Koral jest mocny i załatwia swoje interesy tam, gdzie mu się podoba. Bo nie boi się ani konkurencji, ani psiarni. I lepiej nie startować z łapami do Korala, bo to się zawsze źle skończy.

No a przede wszystkim o egzekucji musiało być głośno. Przecież gdyby Gruby pojechał do lasu i tam został, to pewnie informacja o tym pojawiłaby się dopiero za jakiś czas, i to jeszcze małym drukiem. O ile by go wykopali. A tak to była pewność, że śmierć frajera obiegnie cały kraj i będzie jednym z najważniejszych newsów. W każdym razie tak Koral to sobie zaplanował.

A wyszło, jak wyszło. Jaka mafia, taka i rozwałka...

Do zadania Koral wytypował młode wilki – Plombę i Kanta. Dwóch młodych chłopaków, którzy dokleпали do grupy kilka miesięcy wcześniej i jeszcze nie zdążyli mieć na koncie żadnej odsiadki. Kant co prawda chyba siedział w poprawczaku, a Plomba był jakiś czas pod nadzorem kuratora, ale trudno to traktować jako prawdziwą przestępczą przeszłość. Swoje, jak by to powiedzieć, bandyckie szlify zdobywali jako samochodowe złodziejaski, więc wysłanie ich na Grubego było szansą na wielki skok w hierarchii. Oczywiście pod warunkiem, że wykonają zadanie bez zarzutu.

Chłopcy dostali kominy tylko na tę akcję – potem miały iść na zniszczenie. Jeden miał walthera, a drugi glocka. Fajny sprzęt, aż szkoda oddawać go na złom, no ale bezpieczeństwo przede wszystkim.

Długo trwały debaty, gdzie konkretnie Gruby zostanie odjebany – początkowo plan zakładał, że stanie się to pod jego domem. Zgodnie z regułami gry – frajer zajedzie na parking, wyjdzie z fury i wtedy dostanie kilka pestek. Tak jak generał Papała. Gość, który wysiada z samochodu, nie myśli o tym, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo, tylko o tym, czy najpierw zje obiad, a potem puknie

kobietę, czy też odwrotnie.

Z tym że Gruby niewątpliwie znał tę zasadę i mógł być ostrożny – co więcej, pod domem mógł mieć swoich ludzi, z większym doświadczeniem życiowym niż Plomba i Kant. I z lepszymi umiejętnościami strzeleckimi. A poza tym mieszkał w cichej okolicy i strzały wywołałyby panikę co najwyżej dwóch emerytek wracających ze sklepu z mlekiem i chlebem. Albo jakiegoś złomiarza...

Dlatego zapadła decyzja, że cyngle dopadną go pod siłownią – Gruby był niewolnikiem gangsterskiego rytuału: każde przedpołudnie spędzał na siłowni. Albo prawie każde, bo oczywiście zdarzały się sytuacje, że nie miał czasu przypakować.

Siłownia „Gladiator” znajdowała się kilka minut na piechotę od ścisłego centrum, czyli w lokalizacji o wiele bardziej uczęszczanej niż osiedle, na którym mieszkał. Miała ona jeszcze ten atut, że tuż obok wejścia do siłowni był śmietnik, otoczony niewielkim murkiem. Niewielkim, ale wystarczającym, aby skryło się za nim dwóch kilerów. Właśnie tam Plomba i Kant czekali, aż Gruby skończy trening. To było coś w rodzaju ostatniego życzenia, którego Gruby wprowadzie nie wypowiedział, bo nikt go o to nie pytał, ale na pewno by je zaakceptował – ostatni trening przed śmiercią.

Poza tym – kto pakuje, ten wie – człowiek po treningu i po saunie jest nieco rozkojarzony, wyluzowany, myśli o tym, jak mu przyrasta masa, i nie dostrzega zagrożeń.

Gruby preferował krótkie sesje – trzy grupy mięśniowe, jakieś aeroby na dokrwienie organizmu, sauna i do domu. Czyli w sumie najwyżej godzina.

Chłopcy przyjechali pod siłownię tuż po dziesiątej rano. Kant, który miał doklejoną sztuczną brodę, a na nosie ciemne okulary, wszedł do środka i dyskretnie rozejrzał się po sali. Chodziło o to, aby frajer go nie rozpoznał, bo mógłby zadzwonić po swoich i generalnie narobić hałasu. Od razu dostrzegł Grubego, który wyciskał sztangę, leżąc na ławeczce. Czyli cel już był pod kontrolą – wystarczyło na niego poczekać, a potem wysłać go tam, gdzie jego miejsce: do piachu.

Po jakimś czasie Gruby pojawił się w drzwiach wejściowych – zaczął grzebać w kieszeni, pewnie w poszukiwaniu kluczyków do swojej fury. Nie mógł ich znaleźć, więc postawił torbę na ziemi i dalej się obmacywał. Nie zwrócił uwagi na to, że ponad murkiem pojawiły się dwie postaci. Każda z kopytem w łapie.

– Zdychaj, kurwo! – usłyszał i wtedy zorientował się, że nadeszła jego ostatnia godzina. Padły strzały. Kilerzy znajdowali się od celu o jakieś dwadzieścia pięć metrów, czyli tak, jakby byli na strzelnicy. Normalnie z takiej odległości można trafić nawet w butelkę, nie mówiąc już o napakowanym, grubym koniu. Ale widocznie Plomba i Kant stanowili wyjątek od reguły. Wywalili po kilka pestek i żadna nie osiągnęła celu.

Gruby stał jak wryty – nie wiem, czy bardziej zaskoczyło go to, że jest

ostrzeliwany, czy to, że kilerzy nie są w stanie go trafić z tak bliskiej odległości. Kanonada trwała kilkanaście sekund – w tym czasie chłopcy opróżnili magazynki. Gdy Gruby skumał, że już nie mają pestek i będą musieli zmienić magazynki, dał w długą. Na swoje szczęście furę miał zaparkowaną kilkadziesiąt metrów dalej, więc udało mu się szybko wskoczyć do środka.

Gdy ruszał z piskiem opon, rozpoczęła się kolejna kanonada – chłopcy zmienili magazynki i byli gotowi do ciągu dalszego. I dalej strzelali, ale im dalej był samochód Grubego, tym mniejsze były szanse na sukces całej akcji.

W efekcie Gruby poniósł niewielkie szkody – stracił torbę, którą zostawił na chodniku, i boczną szybę w samochodzie. Bo któremuś z cyngli udało się w nią trafić.

Wyniósł natomiast naukę – Koral nie żartuje i będzie chciał go odjechać. Ale ta wiedza na nic mu się nie przydała, bo zginął kilka tygodni później. Zginął, a raczej zaginął. Tym razem Koral uznał, że nie ma to jak wycieczki do lasu i Gruby zostanie zlikwidowany po cichu.

Szczególnie w sytuacji, gdy dysponuje się takimi egzekutorami jak Plomba i Kant.

Nie wiem, gdzie Gruby został zawinięty – może pod domem, a może pod jakimś sklepem. Nawet nie wiem, jaka ekipa wywiozła go do lasu. Mam swoje podejrzenia, ale wolałem nie drażnić tego wątku, bo czasami wiedzieć mniej to wiedzieć więcej.

Jednego jestem pewien – w tym lesie Gruby nieźle pocierpiał. Bo taka była zasada: zanim się frajera zakopało, trzeba mu było dać odczuć, że postąpił niewłaściwie. A Gruby nagrabił sobie... Co do tego nie mam wątpliwości.

Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Żaden sprawca nie usłyszał zarzutu.

Z tego, co wiem, jego matka wciąż wierzy, że syn żyje. Może nawet gdzieś na Kajmanach. Jasne, jasne... Zdziwiłaby się, jakby zobaczyła te Kajmany!

KOSTUCHA MA NAJSZYBSZE PORSCHE

Jeszcze na chwilę wrócę do sprawy Grubego. Gdyby to mnie Koral kazał go zastrzelić, miałbym duży problem. Oj, kurwa, jak Himalaje. Nie to, żebym gościa jakoś szczególnie lubił – w gruncie rzeczy uważałem go za frajera – ale trochę się znaliśmy. Trochę, może nawet mniej niż trochę, ale to wystarczyło, żebym nabrał do niego czegoś w rodzaju sympatii.

Oczywiście pamiętałem go z czasów, kiedy jeszcze nie było kosa między nim a koralowymi, mówiliśmy sobie „cześć” i przybijaliśmy piątki, a nawet zdarzyło się, że piliśmy razem wódkę. Ale zawsze w większym gronie i nigdy nie było okazji pogadać jeden na jeden.

Kiedy zaczął się konflikt – jeszcze nie wojna – spotkaliśmy się przypadkiem w „Irish Pubie”. Siedziałem przy barze i sączyłem browara, a on podszedł do mnie i spytał, czy może pogadać.

Uśmiechnąłem się i mówię:

– No wiesz, my już nie jesteśmy kumple. Skąd mam wiedzieć, czy mi nie chcesz opędzlować jakiejś pestki?

– Kosę to ja mam z Koralem – on na to – ale do ciebie nic nie ciepę. Jesteś fajny chłopak i szkoda, że latasz dla tego frajera.

– On też cię uważa za frajera.

– Tutaj każdy każdego uważa za frajera. A jeśli jeszcze nie uważa, to wystarczy trochę poczekać. Każdy dostanie, co swoje, spokojna głowa. Na mieście frajer frajerem pogania...

– Na chuj zadzierałeś z Koralem? Mogłeś mu odpalać działkę, a nawet co którąś działkę, pewnie by nie skumał, że nie dajesz mu wszystkiego. On byłby zadowolony, ty też, nie byłoby tej całej sytuacji – powiedziałem.

Pochylił się nad szklaneczką whisky, którą postawił przed nim barman, przez chwilę medytował, zajarał szluga i odparł:

– Chodzi o zasady...

– Jakie, kurwa, zasady? Nawet jeśli jakieś istnieją, to ustalają je najsilniejsi. Tak się składa, że u nas to jest Koral. Inni mają się podporządkować. Miałeś mu płacić działkę, a nie dyskutować.

– To, że Koral rządzi na mieście, doskonale wiem. Ale nie widzę powodu, żeby mu płacić za coś, w czym w ogóle nie macza palców. Ja nie sram hajsem i mam swoich chłopaków, którym też muszę coś odpalać. To nie są kokosy, ale na życie wystarczy. I na kokę też. Jak im nie odpalę, to kiedyś się na mnie rozprują. Myślę, że wielu z moich tak to sobie właśnie wyobraża: teraz dla mnie latają, ale jak przyjedzie mnie sprzedać, to nawet okiem nie mrugną.

Zacząłem się śmiać, bo Gruby farmazonił jak potłuczony dzieciak.

– Człowieku, o czym ty do mnie rozmawiasz? – mówię. – Nie chcesz płacić

Koralowi za coś, w czym nie maczał palców? Przecież tak działa miasto: jedni wykonują robotę, a ci na górze biorą z tego działkę. Ale to ci na górze organizują to całe gównno, ta cała gangsterka to ich dziecko, które się dzięki nim pasie. To oni mają psiarnię w kieszeni, to oni trzymają na smyczy biznesmenów i polityków. Dlatego ta machina jest tak dobrze naoliwiona i tak dobrze pracuje.

Nie obrażyły go moje słowa. On też wiedział, że tak to działa, ale najwyraźniej miał potrzebę kusić los. Puścił do mnie oko i powiedział:

– Czasami w maszynie trafi się taki popierdolony trybik, który nie chce chodzić tak, jak mu każą.

– Najgorzej, kiedy trybik zaczyna myśleć... – odparłem.

– Jeśli tylko myśli, to jeszcze pół biedy. Gorzej, kiedy zaczyna się stawiać.

Ale co zrobisz, jak trybik inaczej nie potrafi?

Przez chwilę pomilczeliśmy, po czym Gruby się odezwał:

– Słuchaj, Czerwony. Ja nie przyszedłem tu filozofować, tylko zrobić biznes.

Im szybciej się dogadamy, tym szybciej wyjdę i nikt cię ze mną nie zobaczy.

– Czego chcesz?

– Dobrej, szybkiej fury?

– A ta twoja już ci nie pasi?

– Potrzebowałbym coś klasy Porsche, powiedzmy 911...

– A na co ci porsche? Chcesz być jak Koral, który wozi dupsko w lamborghini?

– Żebyś wiedział. Niech się trochę powkurwia. Powiedzmy, że potrzebuję takiej furki także do celów wizerunkowych. Ale nie tylko. Wiem, że koralowi będą próbowali mnie odjechać, kto wie, może nawet to ciebie wyślą na mnie. Dlatego potrzebuję niedużej sportowej furki, która jak depnę po gazie, odejdzie od pościgu na kilkaset metrów.

– Wierzysz, że zawsze im uciekniesz? Na zatłoczonych ulicach dopadną cię nawet w maluchu. Albo jak będziesz wysiadał z tego swojego bolida. Dziewięćset jedenastka nie gwarantuje ci nieśmiertelności.

– Owszem, ale zwiększa szanse na kilka dni więcej na tym świecie. A poza tym, jak już umierać, to chociaż za kierownicą czegoś fajnego.

– Przecież wiesz, że ja rozrzucam prochy, a nie handluję furami...

– Wiem, ale znasz chłopaków od was, którzy są w tym dobrzy. Jakby mi sprowadzili jakąś zdrową sztukę z Reichu, może być porsche, może być od biedy nawet alfa GTV, sporo bym zapłacił. Nikt nie musi się dowiedzieć, że to dla mnie. Powiesz, że dla jakiegoś twojego znajomka. Dasz im mój hajs, na pewno nie będą pytali, kto płaci.

Zgodziłem się, ale powiedziałem, że na to trzeba sporo czasu. Takie porsche trzeba wypatrzeć, zawinąć, przebić numery, zalegalizować – chętnych na takie zabawki jest sporo, więc pewnie musiałyby odstać swoje w kolejce.

Gruby na to, że bardzo zależy mu na czasie, więc podbija stawkę, a mnie też będzie umiał się odwdziaczyć.

Na koniec jeszcze powiedział:

– Skoro jesteś takim kotem od prochów, nie puściłbyś mi trochę koki? Ale wiesz, nie takiej jak dla celebrytów, z cukrem pudrem. Chcę wstrząśniętą, nie zmieszaną.

Kokę załatwiłem mu jeszcze tego samego dnia – czyściutką, prosto z Kolumbii.

A fury mu nie załatwiłem, nie zdążyłem – nawet za bardzo się nie starałem. Oczywiście nadałem sprawę komu trzeba, powiedziałem, że chodzi o sportowe auto, w sumie nieważne jakie. Byle było na wypasie.

Po rozmowie z Grubym wiedziałem, że ten konflikt już wkrótce się zaogni i ktoś padnie trupem. Kto? Ten naiwny, który przed śmiercią chce spierdalać superszybkim autem.

Nawet jeśli masz porsche, które robi setkę w trzy sekundy, kostucha ma jeszcze lepszy model.

KIEDY PESTKI TRACĄ MOC

Ale to wcale nie znaczy, że chłopcy nie stanęli na wysokości zadania – ekstra fura, owszem, pojawiła się, tyle że już po śmierci Grubego. Jemu i tak pewnie by nie pasowała, bo to nie było żadne porsche czy inne ferrari dla pokurczów, tylko range rover! Druga generacja, prawie nówka. Ciemna zieleń, można powiedzieć butelkowa. Z jaśniutką tapicerką, bardzo elegancką.

Taka bryka, która nie służy do spierdalania przed wrogami, ale wręcz przeciwnie – do lansowania się przed całym światem.

Siadasz za kierownicą i zaczynasz się zastanawiać: zaraz, zaraz, gdzie ja jestem? W samochodzie czy w salonie na skórzanej kanapie? Chyba w żadnym innym samochodzie nie masz takiej wygody, a jeśli nawet masz, bo przecież w jeepie grand cherokee też jest sporo miejsca, to jednak rendź to klasa!

Potem odpalasz silnik i od razu odzyskujesz pewność, że to jednak fura – cztery litry i osiem cylindrów grają taką muzykę, że żadna jebana filharmonia ci tego nie zastąpi.

I ruszasz, ale wcale nie masz ochoty bawić się w kierowcę Formuły 1 – wręcz przeciwnie: suniesz powolutku, żeby każdy zdążył cię zobaczyć za kółkiem rendża.

Oczywiście to nie była sztuka prosto z salonu, tylko zawinięta w Niemczech i trochę klepana, ale minimalnie – musiałbyś być naprawdę specem, żeby się zorientować, że drzwi bagażnika były odrobinę źle spasowane. To w niczym nie przeszkadzało, bo otwierały się bez problemu.

Kiedy pierwszy raz wsiadłem do środka, od razu zapodałem radio – bardzo ważna jest dla mnie jakość dźwięku. Wiesz, za młodziaka słuchałem muzyki z jakichś chujowych adapterów typu bambino czy inny mister hit, i już wtedy obiecałem sobie, że w przyszłości będę słuchał ze sprzętu najwyższej jakości. W rendżu muzyka grała jak na koncercie – płynęła ze wszystkich stron, a subwoofer tak podbijał basy, że aż przechodziły mnie ciary.

Pomyślałem, że skoro już bryczka jest, a Grubego nie ma, może ja bym ją przytulił? Chłopcy chcieli ją puścić za jakieś śmieszne pieniądze i ja byłem gotów wyskoczyć z siana, ale nagle włączył mi się w głowie alarm – co na to powie Koral?

Wprawdzie on sam raczej nie zamieniłby swojego lambo na range rovera, bo to zupełnie inna filozofia i inne klimaty, ale pod względem ceny i prestiżu to były całkiem zbliżone sztuki.

Obawiałem się, czy on nie pomyśli, że chcę mu dorównać i zaczynam obrastać w piórka – najpierw przesiądę się do rendża, a potem sodowa uderzy mi do głowy i zacznę mieć jakieś chore ambicje. Na przykład żeby dorównać Koralowi. Oczywiście nie miałem takich ambicji, ale przecież szef nie siedział mi

w głowie i nie miał pojęcia, co ja kombinuję.

Postanowiłem powiedzieć mu wprost: nie żebym szukał rendża, ale chłopcy mi go zaproponowali za dobrą cenę i ja się zastanawiam. Bo jednak taka terenówka to nie tylko prestiż, ale i bezpieczeństwo – często wożę w bagażniku różne spore ładunki i po pierwsze w moim audi nie zawsze się mieszczą, a po drugie, jakby co, czołg bardziej nadaje się na wojnę niż ryksza. A rendż to czołg, tyle że kapkę ładniejszy.

No i co Koral o tym sądzi?

Zadzwoiłem do niego, po prostu. W sumie nawet trochę się obawiałem, że zjebie mnie jak burą sukę, że mu zawracam głowę czymś takim, ale on wysłuchał spokojnie, po czym powiedział:

– A co mnie to, kurwa, obchodzi? Jak masz tyle hajsu, żeby sobie kupić rendża, to sobie kup.

Dodał tylko, że taki czołg to pali jak smok, ale jak ktoś kupuje rendża, to nie martwi się o benzynę. Zresztą – co podkreślił bardzo mocno – lambo na pewno pije więcej.

I tyle.

Następnego dnia już śmigałem po mieście moim krążownikiem – możesz mi wierzyć: to były takie czasy, że za range roverem oglądali się wszyscy. Faceci zazdrościli, a laski chciały wskoczyć do środka.

No ale ja przecież nie będę woził każdej niuni, której się to zamarzy. To ja wybieram, która usiądzie obok mnie.

AMATOR Z WILGOTNĄ AMUNICJĄ

Historia polskiej mafii to historia nieudanych egzekucji. Nie tylko w latach dziewięćdziesiątych, kiedy ja latałem na mieście, ale i później, kiedy ta najślynniejsza grupa przestępcza, czyli Pruszków, została rozpirzona.

Słyszałeś o sprawie Nastka? Nie? Posłuchaj. Ja wiem, że zabijanie, czy nawet próba zabicia, nigdy nie jest śmieszne, ale akurat w tym przypadku, jak się o tym opowiada, trudno zachować powagę.

Krzysiek, ksywka Nastek, latał dla Pruszkowa, miał pod sobą warszawskie Śródmieście i wyrabiał się na naprawdę dużą figurę. Po rozbiciu zarządu Pruszkowa dalej kręcił swoje lody i wydawało się, że wskoczy na sam szczyt. Trzymał i prochy, i haracze, i burdele – zarabiał hajsu jak lodu i nawet zaczął zbliżać się do świata polityki. Ale nie zdążył, bo młodzi zaczęli mu deptać po piętach. Może gdyby miał silniejszy charakter, podjąłby walkę. Niestety, dragi zmasakrowały mu mózg, a miłość do hazardu sieknęła go po kieszeni. Ale chyba nie zdawał sobie sprawy, że kostucha jest coraz bliżej, i dalej ćpał i grał, jakby nigdy nic.

To, o czym chcę ci powiedzieć, wydarzyło się o świcie, na początku września 2002 roku. Nastek, jak to Nastek, nie spał grzecznie w swoim łóżku, tylko przepierdalał siano w salonie gry w centrum Warszawy. Ten lokal był w pobliżu placu Teatralnego – chłopcy z miasta chodzili tam bardzo często, a Nastek – niemal nałogowo.

Okolo czwartej nad ranem jakiś gość wywabił go na zewnątrz – o ile się nie mylę, poprosił ochroniarza, żeby powiedział Nastkowi, że ktoś ma do niego interes.

W tym momencie Krzysiek powinien wyczuć pismo nosem i zadekować się w środku, ale on chyba uznał, że to jakiś jego człowiek i pewnie chodzi o pieniądze. Wiesz, dla normalnych ludzi czwarta nad ranem to pora sennych cudów, ale dla gangstera to samo południe.

Wyszedł na zewnątrz, a tam czekał na niego jakiś gość w długim płaszczu i kapeluszu nasuniętym na oczy. Czyli klasyczny cyngiel w wersji znad Wisły – gdzieś coś takiego zobaczył na amerykańskim filmie z lat pięćdziesiątych i postanowił powtórzyć ten patent. Taki Humphrey Kowalski Bogart!

Panowie długo ze sobą nie gadali – kiler wyciągnął spluwę i zaczął strzelać. Strzelał, strzelał, a Nastek uciekał. I uciekł. Czujesz to? Dostał sześć czy siedem pestek, także w głowę, i przeżył. Może nie było tak, że kule odbijały się od niego, raczej wchodziły płyciutko, zupełnie jakby gość wciskał je ręką w ciało Nastka.

W każdym razie Krzysiek dobiegł do szpitala, dał się opatrzyć i po jakimś czasie wylizał się z ran. A właściwie – skaleczeń.

Kim był ten cyngiel, do dziś nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że dysponował zawilgoconą i zwietrzałą amunicją – pewnie trzymał ją głęboko

w piwnicy, żeby mamusia nie znalazła. Bo mogłaby mu dać po pupie. No i pestki straciły moc.

Takich kilerów miała polska mafia i taką dysponowała bronią!

Ale egzekucja pod salonem gry, na dłuższą metę, okazała się tylko grą wstępną. Happy endu nie było – po jakimś czasie chłopcy wysłali zawodowca, który już na dobre zastrzelił Nastka pod jego blokiem na Bemowie.

No bo jednak nie wszyscy musieli się obawiać mamusi i nie trzymali naboju w piwnicy!

TRZEBA STWORZYĆ GANGSTERSKĄ EKSTRAKLASĘ

Wdrugiej połowie lat dziewięćdziesiątych Koral rozwinął skrzydła i poleciał bardzo wysoko – znacznie wyżej, niż chcieliby jego krajowi konkurenci. Był na tyle łebski, że szybko zorientował się, gdzie leżą prawdziwe konfitury. Nie to, żeby nagle prochy czy napady na tiry przestały być opłacalne, ale to jednak były cały czas takie same pieniądze jak na początku dekady. A jeśli chodzi o tiry, to może nawet mniejsze, bo transporty już nie były tak częste, na rynkach nie brakowało ani fajek, ani spirytusu, a policja zaczęła ścigać grupy napadające na ciężarówki. Generalnie ten biznes powoli się zwijał, a jeśli chodzi o dragi, to większość grup w Polsce była jedynie ogniwem w łańcuchu – największy hajs zarabiał ten, kto wrzucał towar na rynek, a nie ten, kto nim handlował na prowincji. Żeby przeskoczyć o te kilka ogniw do góry, trzeba było dotrzeć do producenta. A przynajmniej do kogoś, kto go reprezentuje, i to nie w Polsce, tylko w Europie.

Tak się składało, że Koral znał takiego gościa, pseudonim Larry, podobno na cześć jakiegoś facia z serialu *Miami Vice* – to był Polak, który wystawił się z kraju pod sam koniec komuny, albo już wręcz po wyborach w czerwcu 1989 roku, bo milicja deptała mu po piętach w związku z jakimś napadem na Śląsku. Gdyby wiedział, że już za chwilę wszystko w kraju przewróci się do góry nogami, a milicja stanie się policją i prawie w ogóle przestanie ścigać przestępców, pewnie zaryzykowałby i został w kraju. Ale Larry nie był jasnowidzem ani jakoś szczególnie nie interesował się polityką, więc kiedy ktoś mu powiedział: „Na dniach gliny zrobią ci wjazd na chatę”, to schował do kieszeni szczoteczkę do zębów i wypierdolił z kraju. No, z tą szczoteczką to przegiąłem, ale wiem, że ukręcił się tak, jak stał. Nawet nie wiem, jak to zrobił, bo granice jeszcze były w miarę szczelne, ale jestem pewien, że pomógł mu ktoś z bezpieki. A może to jakiś bezpieczniak dał mu cynk o milicyjnym wjeździe? Wszystko jest możliwe.

Larry – i to była tajemnica Poliszynela – od początku lat osiemdziesiątych był na uchu u SB i od czasu do czasu sprzedawał im jakąś płótkę, a oni przymykali oko na jego działalność na mieście. Zresztą podejrzewam, że mieli z tego więcej korzyści niż tylko wiedzę na temat podziemia kryminalnego. No ale to jedynie takie moje domysły. Wielu gangsterów kolaborowało wtedy z psiarnią, a także ze służbami zielonych i nikt nie widział w tym niczego zdrożnego. Wszędzie tak to działa i jeśli ktoś sądzi, że świat dzieli się wyłącznie na dobrych i złych, którzy nigdy sobie nie podają ręki, a tylko prowadzą wojnę, to jest w bardzo mylnym błędzie. Czasami dobry musi się zwąchać ze złymi, żeby utopić jeszcze gorszych.

Zresztą im dłużej żyję, tym trudniej przychodzi mi rozróżnianie jednych od drugich. Ja, na przykład, uważam się za dobrego, który przez przypadek trafił do świata złych i robił rzeczy, które w takim świecie się robi. Jeśli jesteś silnikiem samochodowym, to pracujesz tak jak silnik samochodowy, a nie śpiewasz arie

operetkowe. Logiczne, prawda? Nieważne...

Larry uciekł do Berlina Zachodniego – tak jak dziesiątki gangsterów przed nim. Wtedy jeszcze miasto było podzielone na dwie części, zachodnią i komunistyczną, i jak już zadekowałeś się w tej pierwszej, to czerwoni mogli ci nagwizdać.

A tak się składało, że w Berlinie był w tym czasie też Koral – przyjechał z Hamburga, gdzie próbował doklepać do jakiejś grupy, ale go pogonili, bo uważali, że Koral to konfident Kriminalpolizei. Co oczywiście było bzdurą, no ale w grupie przestępczej nie liczy się, jaka jest prawda, tylko jaką chorobę ci grupa wymyśli. A jemu wymyślili właśnie taką i go pogonili.

Nie wiem, jak się zważali, ale szybko sobie przypadli go gustu. Nie chce mi się wierzyć, że zajmowali się kradzieżami w sklepach, bo trudno mi sobie wyobrazić takiego grubasa jak Larry, który pod kurtką wynosi ze sklepu fajki i alkohol. A wielu naszych tak właśnie zaczynało. Sądzę, że Larry wciągnął Korala w handel narkotykami, ale to była drobna skala – wtedy jeszcze ten pierwszy nie miał takich kontaktów, jakie sobie porobił kilka lat później.

Był jednak na tyle mocny, że kupił sobie ferrari – 288 GTO, topowy model z połowy lat osiemdziesiątych. Powiem ci – Ferrari robi ponadczasowe samochody, więc gdybyś dziś przejechał się takim po Warszawie, to też mało kto nie wybałuszyłby gał!

Larry uwielbiał zawodowy boks, a w Berlinie Zachodnim ciągle były organizowane gale. Nie tylko w halach sportowych, ale i w nocnych klubach, gdzie przy okazji można było wyhaczyć fajną panienkę z jakiejś radzieckiej republiki i przypudrować nochała czymś z najwyższej półki. Takie imprezy miały się nijak do zawodów boksu w PRL, gdzie chłopaczki prały się po ryjach w jakichś salach gimnastycznych, jedynie w niewielkim stopniu przypominających areny widowiskowe. I gdzie w bufecie, jeśli w ogóle był bufet, można było się uraczyć ciepłą oranżadą i kiełbaską z wody. Jeśli w ogóle była kiełbaska.

W Berlinie Zachodnim był zupełnie inny świat – splendor i wielki hajs. Bokser, który załapał się tam na kontrakt, mógł liczyć, że ustawi się na długie lata. Może nie na całe życie, ale jednak gra była warta świeczki. Jedną z gwiazd boksu zawodowego w Berlinie był Polak – Stanisław Kubieniec. Ten chłopak z Dolnego Śląska pewnie zrobiłby wielką karierę, gdyby go nie zawinęło Stasi – wschodnioniemiecka bezpieka. Komunistyczne służby wchodziły do Berlina Zachodniego jak w masło i wyszukiwały sobie kandydatów na informatorów. Zainteresowali się Kubieńcem i zaczęli go przekreślać na swoją stronę. Nawet podrzucili mu panienkę, która okazała się uchem czerwonych. Ale nie po to gość spierdolił z PRL, żeby teraz się związać z DDR-owskimi komuchami. Grzecznie odmówił. Tylko że Stasi nigdy nie przyjmowała takiej odmowy do wiadomości. Jakoś go uśpili i zawinęli – jak się facet obudził, był już po wschodniej stronie.

Wrzucili gościa do jakiegoś najcięższego chliwa i tak zmasakrowali, że sam siebie nie mógł poznać. Zrobili z niego kalekę, który już ledwo mógł marzyć o jakim takim funkcjonowaniu, a na pewno nie o uprawianiu sportu. Wyszedł z paki po latach i o ile wiem, wyemigrował do Paragwaju. Co się z nim potem stało? Nie mam pojęcia.

No ale nie o tym miałem mówić...

Larry i Koral wozili dupska ferrari i pojawiali się tam, gdzie wypadało się pojawiać: i na galach, i w zamkniętych klubach, i w ekskluzywnych hotelach. Ich sława rosła z dnia na dzień, ale prawdę powiedziawszy, to Larry robił karierę, a Koral jedynie grzał się w jego blasku. Niektórzy to nawet uważali, że Koral jest kimś w rodzaju ochroniarza Larry'ego – w sumie taki status też był nie do pogardzenia, choć pewnie kapkę uwierał przyszłego bossa.

W pewnym momencie Koral uznał, że czas zacząć organizować coś swojego, najlepiej na własnym podwórku. Czyli w Polsce, gdzie już zaczął się ten cały demokratyczny burdel. Wprawdzie Larry namawiał go, żeby został w Reichu, ale potem doszedł do wniosku, że może to i lepiej, jeśli będzie miał swojego człowieka nad Wisłą.

Koral wrócił i odnowił kontakty ze Świętym, a Larry na poważnie zajął się prochami i dzięki temu zwąchał się z Ruskimi, którzy szukali kandydatów na przedstawicieli w Polsce i innych krajach wychodzących z Bloku Wschodniego. Potrzebowali kogoś, kto rezyduje w Reichu, ale jest w stanie pociągać za sznurki w poszczególnych krajach. I ma mobilną ekipę, która w razie potrzeby przemieści się tu i tam. W takim czy innym celu. A oni, Ruscy, gwarantują heroinę z Azji i kokę z Ameryki Południowej – najlepszy stuff w każdej ilości. No i gdyby taki przedstawiciel miał jakieś pomysły na inny biznes – oczywiście pod warunkiem, że Ruscy też będą na działce – to oni pomogą go rozkręcić. Jak to w korporacji.

Pamiętaj – to nie były jakieś leszcze, które się wyrabiały na gangusów, nie jacyś drobni przemytnicy zza Buga, typu „eto maja mamasza, a eto maja pepesza”. To była prawdziwa ruska mafia – taka z mackami od Władywostoku po Nowy Jork. Goście, którzy pewnie znali takich grubasów jak Japończyk czy Hasan Dziad.

Larry'emu pomysłów nie brakowało, ale na razie miał jeden, podstawowy: on będzie tym przedstawicielem, a Koral zapewni mu ekipę. I jeśli wszystko pójdzie dobrze, potrzęsą nie tylko Polską, nie tylko dawnym Blokiem Wschodnim, ale też całą Europą. Nawet Sycylijczycy będą musieli się z nimi liczyć.

Tylko to nie mogła być ekipa gości robionych miękkim fiutem – do tego była potrzebna ekstraklasa. Kiedy Koral dowiedział się o całym projekcie, zapewnił, że zna takich chłopaków. Oczywiście jeszcze wtedy ich nie miał, blefował, ale... miał mieć. I w sumie prawie mu się udało.

SEX ON THE BEACH

Zobaczyłem ją, jak wychodziła ze sklepu z ciuchami. Wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, w nocnym klubie – była zwyczajna aż do bólu i w niczym nie przypominała tamtej laski, z którą pojechałem na krótką wycieczkę ze szczęśliwym finałem. Zwyczajna, ale bardzo ładna – wcale nie jestem pewien, którą wersję wołałem: czy tę nocną, czy dzienną. Zresztą Jowitka należała do tej kategorii dziewczyn, które doskonale dopasowywały się do każdej sytuacji, cały czas zachowując odrębność. Mówiłem ci, że tamtym poprzednim razem wyglądała na inną bajkę niż pozostałe dziunie, bardzo się od nich różniła, ale teraz, na ulicy, także rzucała się w oczy. Bez dwóch zdań – miała dziewczyna klasę i wcale mnie nie dziwi, że była ulubienicą Koralą. Nie chcę przez to powiedzieć, że łączyło ich coś więcej – bez przesady, Koral grał w najwyższej lidze, a Jowitka to mimo wszystko była okręgówka – ale na pewno jakaś tam nić sympatii. On był dla niej jak wujek – nie traktował jej jak lalki, którą dmuchają jego chłopcy, tylko jak dziewczynę, którą się po prostu lubi. I w jakimś tam sensie szanuje. Owszem, czasem taka „panienka z dobrego chowu” musi komuś zrobić laskę, bo w sumie na tym polega jej rola, nie wystarczy tylko wyglądać i pachnieć, ale zawsze to jest rodzaj nagrody dla faceta, któremu Koral chce okazać swoją przychylność. Albo go zmotywować – tak jak mnie.

Dlatego to w żadnym wypadku nie jest dla Jowitki upokarzające – wręcz przeciwnie, stanowi dowód na to, jak bardzo jest ceniona przez bossa.

Zatrzymałem się tuż obok niej – przez chwilę nie kumała, co jest grane, ale w końcu zauważyła mnie i zagwizdała z podziwem.

– Ukradłeś czy wygrałeś na loterii? – zapytała. Kokietka!

– Się pracuje, to się ma – odparłem.

– Skoro się zatrzymałeś, to pewnie chciałeś się pochwalić...

Spaliłem buraka – Jowitka zawsze umiała ściągnąć faceta na ziemię. Podobno Koralowi też lubiła przygadać, ale oczywiście w granicach rozsądku – w granicach, które boss akceptował.

– E tam, zobaczyłem ciebie, to się zatrzymałem. Jakbym jechał maluchem, też bym się zatrzymał.

– Jakbyś jechał maluchem, to nie wiem, czy ja bym się zatrzymała.

Co za wredna franca, dwa zero dla niej!

– Skoro jednak nie jestem maluchem, to zapraszam do środka. Podwiozę cię...

Wsiadła, rzuciła jakieś torby na tylne siedzenie i uśmiechnęła się.

– Wobec tego, panie taksówkarzu, poproszę mnie zawieźć na osiedle Tysiąclecia. Pokażę panu blok, pod którym pan się zatrzyma.

– Sie robi, szanowna pani.

Dałem po garach i silnik ryknął na cały głos – przechodnie z przerażeniem spojrzeli w naszą stronę, ale niedługo nas widzieli. Rendź skoczył do przodu i zniknął im z oczu. Wrzuciłem CD – z głośników popłynął jakiś hit Backstreet Boys. Kawalek, przy którym laski tuliły się na parkietach do swoich facetów – często go grano na dyskotekach. Nie za głośno, nie za cicho – w sam raz, żeby wprowadzić Jowitkę we właściwe vibracje.

– Fajna fura. – Tylko tyle powiedziała przez całą drogę.

Chciałem podać jej wszystkie dane techniczne samochodu, ale uznałem, że zanudziłbym ją: co ją obchodziła pojemność, liczba cylindrów i szczegóły na temat zawieszenia? Liczył się efekt, a nie jego składniki.

– Mhmm, fajna – odparłem i prulem w stronę osiedla Tysiąclecia.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, czuć było, że w tym zdaniu brakuje kropki. Ale kto ma ją postawić? I kiedy?

Chciałem jeszcze chwilę z nią pobyc, choć wcale nie byłem pewien, czy mam na nią ochotę. Może wystarczyłoby pogadać, przygotować grunt pod kolejne spotkanie, tym razem z finałem w wyrku? Niby wciąż miałem w pamięci nasze ostatnie spotkanie i to, do czego doszło przy torach kolejowych, ale wiedziałem, że tamten lodzik jest już wyzerowany, nie ma go, nie stanowi argumentu na rzecz kolejnego zbliżenia. Bo ona nie robiła tego ze mną, tylko z Koralem, a przynajmniej z jego woli – ja jedynie podałem jej pałkę.

Czyli musiałem zaczynać podchody do Jowitki od samego początku. Podchody, które wcale nie musiały się skończyć sukcesem. Gdy tak się zastanawiałem, jak zagaić, ona odezwała się pierwsza:

– Chętnie bym zaprosiła cię do środka, ale... to chyba kiepski pomysł.

– A czemu?

– Wiesz, u mnie nie ma warunków...

– No ale ja bym tylko wypił herbatę...

– Nie rozumiesz. Nie ma warunków, żeby obcy odwiedzali.

Popatrzyłem na nią zdziwiony – jak to nie ma warunków? Stado wściekłych psów u niej mieszka, ma zapleśniałe fotele, woda sięga kostek?

– Mam chorą matkę, nie chcę, żeby ktoś ją oglądał. Ona też nie lubi obcych.

O nic nie pytałem, skumałem, że pewnie mamusia ma nierówno pod sufitem i bywa nieobliczalna. Nie nalegałem. Później okazało się, że faktycznie była w jakiejś depresji i zachowywała się trochę dziwnie, więc Jowitka obawiała się zapraszać gości.

Kiedy już wydawało się, że zaraz się skończy coś, co tak fajnie się rozwija, zagrałem va banque:

– To zapraszam cię na kawę, znam jedno fajne miejsce.

– Pewnie znasz wiele fajnych miejsc. Ale ja nie mam za dużo czasu.

Nie powiedziała „nie mam czasu”, a jedynie „nie mam za dużo czasu”. Czyli

dała mi zielone światło. A przynajmniej żółte – też da się pojechać, tylko trzeba się spieszyć.

Nie pytając jej o zdanie, ruszyłem z piskiem opon. Popatrzyła na mnie zdziwiona, a potem się uśmiechnęła:

– Lubisz ostre szarże – powiedziała. – Nie wiem, czy mi się to podoba.

– Daj mi szansę! Zobaczysz, że i to polubisz. Ustalmy jedno już teraz: pojedyncze espresso czy podwójne?

– Nie lubię mocnej kawy. Może być jakiś drink? Powiedzmy, Sex on the Beach...

O w mordę, ostro zagrała.

– Oczywiście, seks może być, gdzie tylko zechcesz.

Po dwudziestu minutach jazdy dotarliśmy do małego pensjonatu spa na skraju lasu nad jeziorem. To było miejsce, gdzie chłopcy przywozili skóry z wyższej półki i brali pokoje na godziny. Dla miasta był rabat – nie kasowano nas za całą dobę, a jedynie za połowę. To było uczciwe postawienie sprawy, bo wiadomo, że po kilku godzinach nadziewania pościel nadawała się już tylko do prania. A czasami nie było co prać, pozostawało tylko pociąć na szmaty. Mówiąc szczerze, zdarzało się, że leciały zasłony z karniszami – niektóre laski lubiły się pruć na stojaka, trzymając się zasłon.

Czasami przyjeżdżaliśmy tam na masaże relaksacyjne, oczywiście z happy endem; dziewczyny z Ukrainy, które pracowały w spa, doskonale znały się na rzeczy i nie trzeba im było mówić, o jaki zabieg chodzi. Stratne nie były – czasami dostawały nawet potrójną stawkę, szczególnie jeśli klient coś sobie wcześniej wciągnął.

Ale tym razem nie było żadnego bzykania – Jowitka wypila w barze dwa drinki, zaczęła się pokładać na kanapie, i kiedy ja zacząłem krążyć wokół tematu wynajęcia pokoju na dwie, trzy godzinki, ona zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie tak szybko. Wolniej jedziesz, dalej zajedziesz. Muszę wracać do domu, bo mam tam sporo do zrobienia. W każdym razie dziękuję, że mnie tu przywiozłeś.

– Może chociaż sobie jeszcze pogadamy, w pokoju byłoby spokojniej.

Rozejrzała się po pustym barze i powiedziała z ironią:

– Faktycznie, te tłumy trochę nam przeszkadzają w konwersacji, ale może uda się przekrzyczeć hałas.

Przez chwilę milczeliśmy, po czym odezwała się znowu:

– Wiem, czego chcesz, a ja wiem, czego nie chcę. Nie twierdę, że jutro czy pojutrze mi się nie odmieni, ale na razie zakończmy to spotkanie i odwieź mnie do domu. Uwierz mi, że nie ściemnam, mam tam coś do zrobienia.

– Chodzi o mamę?

– Zgadłeś, dlatego musimy już jechać.

Co miałem robić? Zapłaciłem za drinki i za moje piwo i poszliśmy na

parking.

- Pewnie jesteś zły? – spytała, gdy ruszyliśmy w stronę jej domu.
- Zdziwisz się, ale wcale nie.
- Pewnie inne, które tu przywoziłeś, nie odmawiały ci?
- Skąd wiesz, że byłem tu z jakimiś innymi?

Nic nie odpowiedziała. Kręciła sobie na palcu kosmyki włosów i patrzyła bezmyślnie w podłogę. Wyglądała przy tym tak zwyczajnie, że aż się zdumiałem: co ja w niej widzę?

Może to, że Koral też coś w niej widzi...

Wracając do interesów Larry'ego i Korala...

Początkowo do działki był też Święty i trzeba przyznać, że to także dzięki niemu wszystko zaczęło hulać. Bo Święty miał i kontakty, i ostrych chłopaków, przed którymi pół kraju robiło w nacy. No, może przesadzam, że pół kraju, bo to jednak nie był Pruszków, ale tam, gdzie wchodził, zostawiali po sobie – jak by to powiedzieć? – nieprzyjemne wspomnienia. Trochę łez, trochę krwi i trochę potłuczonego szkła.

Jak już ci mówiłem, Święty w końcu zwąchał się z Krejzim i zaczął odpierdalać manianę – był nielojalny i nie dzielił się hajsem. Oczywiście to Krejzi zrobił mu wódkę z mózgu, bo dowiedział się o interesach Larry'ego i Korala i uznał, że obaj, czyli on i Święty, mogą sami obsłużyć Ruskich i wyslizgać Korala z biznesu.

Jeśli Krejzi w to wierzył, to musiał być imbecylem – nie da się po prostu wskoczyć do tak wielkiego przedsięwzięcia i wymiksować kogoś, kto je współtworzył. Co on sobie wyobrażał? Że Larry położy łaskę na Korala i zacznie kręcić lody z facetem, którego nawet nie zna? A może myślał, że Larry'ego też da się wykopać i wejść w bezpośredni deal z Ruskimi? Powiem ci coś – o Ruskich można powiedzieć wiele złego, że są okrutni i bezwzględni, ale jednego nie można im odebrać: są lojalni wobec tych, z którymi łączą ich jakieś związki. Bo to nie jest tak, że z Ruskim tylko trzepiesz hajs. Jak już prowadzicie wspólne interesy, to są też imprezy, to jest wódka, to są, kurwa, jakieś nostalgiczne śpiewy typu *Podmoskownyje wiecziera* i zapewnienia o wiecznej przyjaźni. Ruski, jak wytrzeźwieje, nadal jest wierny tym zapewnieniom. Ale jeśli współpracownik będzie go próbował wychujać, to znaczy, że nie tylko naruszył warunki umowy, ale też – a w sumie, przede wszystkim – zdradził przyjaźń. I zasługuje jedynie na pestkę w łeb. I taką pestkę z reguły dostaje.

Mówiąc krótko, żeby nie wchodzić za głęboko w tajniki rosyjskiej duszy, Ruscy nie porzuciliby Larry'ego i Korala dla jakiegoś obszczymura. No, chyba że Larry i Koral zawiedliby ich pod względem biznesowym. Ale akurat oni przynosili

Ruskim gigantyczny hajs, a poza tym – i to może jeszcze ważniejsze – wykonywali pewne usługi, których nie każdy by się podjął. O tym za chwilę...

Tak czy inaczej, z interesu wypadł Święty, bo zapisał się na spotkanie ze Świętym Piotrem, a Krejzi, jak się dowiedział o jego śmierci, schował się głęboko pod ziemią i czekał, aż cała sprawa przycichnie. Aż Koral zapomni także o nim. Potem wyszedł na powierzchnię, ale chodził z podkulonym ogonem.

Po jakimś czasie zresztą spotkali się – Krejzi ściemniał, że nigdy nie zamierzał Koralowi w czymkolwiek bruździć, kręci swoje lody na Mazowszu i nie zamierza nikomu się wpierdalać między wódkę i zakąskę. Nie wiem, czy Koral uwierzył w szczerą intencję Krejziego, ale machnął na niego ręką i nigdy więcej nie było między nimi żadnej spinki.

Natomiast wielu chłopaków od Świętego przeszło do Korala – to nie była taka drobnica jak żołnierzyki Młodego, ale prawdziwe koty – świetnie wyszkolone i doskonale uzbrojone. Po prostu ramię zbrojne, stanowiące dla Korala – a tym samym także dla Larry’ego – wielki atut w rozmowach z Ruskimi: „Patrzcie, jakich mamy chłopaków, z nimi podbijemy wszystko, co nam się zamarzy”.

Kilku gości od Świętego to były psy, które odeszły ze służby. Ale nie myśl sobie, że jakieś krawężniki – prawdziwi antyterrorysty, którzy sprzętem posługiwali się lepiej niż ty czy ja łyżką i widelcem. Tacy, którym ręka nie zdrzy, kiedy przyjdzie komuś wywalić serię w łeb.

Tak więc Koral umacniał siły zbrojne i poszerzał swoje kontakty, a Larry wchodził coraz bardziej w interesy z Ruskimi. Oni poprzez niego pchali kokę na nasz rynek, a ludzie Korala ją upłynniali. Zresztą nie tylko w Polsce, bo i na południu Europy. Oczywiście nie za głęboko, bo tam już rządzą Włosi, Albańczycy i gangsterzy z byłej Jugosławii, więc mogło się to skończyć różnie. Ale i tak hajsu było z tego wystarczająco dużo.

Ale wtedy zaczęły się też inne zlecenia – kiedy Ruscy mieli z kimś na pieńku, a wysłanie własnego cyngla mogło się okazać ryzykowne, wtedy do akcji wkraczali ludzie Korala. Nie będę tu mówił o żadnych liczbach, bo nie mam na to dowodu, na pewno jednak w samym Reichu mieli na koncie kilkanaście łbów. Tu oczywiście nie chodziło o zarobek, choć Koral za robotę dostawał jakąś kasę i część z niej odpalał zabójcy, ale o – jak by to powiedzieć? – zacieśnienie bratniej współpracy między narodami. Wiadomo też było, że Koral może liczyć na cyngli zza Buga, jeśli nie będzie mu pasowało wysłać własnych. I on z tego korzystał.

Larry tymczasem uznał, że życie w świecie przestępczym nie jest wieczne i czas zacząć legalizować interesy. Oczywiście z takim założeniem, że to będzie twórcze rozwinięcie idei mafii – legal, ale oparty na zasadach gangsterskich i mający podstawę w zyskach z prochów i napadów. I przynoszący jeszcze większe siano niż gangsterka.

To Ruscy naraili mu kontrahentów, którzy pewnie wiedzieli, z kim wchodzi

w interes, ale chyba nie do końca. Niby mieli świadomość, że Larry trochę kręci się w półświatku, ale łudzili się, że jak wejdzie do legalnego przedsięwzięcia, będzie tańczył, jak mu zagrają. Bo w legalu to oni są królami życia, a on jedynie czeladnikiem.

Albo inaczej – on weźmie na siebie ryzyko związane z nielegalną częścią ich biznesu, a oni będą czysti i nieskalani. Tylko że tak się nie da.

To było dwóch milionerów żydowskiego pochodzenia, ale z paszportami Księstwa Monako. Nie takich milionerów w sensie sto czy dwieście baniek, raczej jedna albo dwie. Bo gdyby mieli więcej zer na koncie, nie musieliby szukać wspólników ze środowiska mafijnego. Tak więc to Larry – i za jego pośrednictwem Rusczy – miał zapewnić płynność finansową przedsięwzięcia, a ci dwaj – pomysł i doskonale kontakty na Zachodzie.

Często bogaty prostak bierze sobie za żonę dziewczynę z arystokracji, bo ona przybija mu na mordzie znak jakości, certyfikat dobrego pochodzenia, a on jej zapewnia brylanty, kawitory i kaszmiry, czyli to, co suka lubi najbardziej, ale czego by bez tego prostaka nie miała. Oboje są zadowoleni, przy czym nadal on gapi się na wysztafirowane kurwiska z klubu go-go, a ona tęskni za księciem na białym koniu. Książę wprawdzie nie przyjeżdża, ale kurwiska nie zawodzą i rozpieszczają prostaka. Zresztą on już nie jest taki prostak – ma przecież na mordzie stempel „uwaga, baron z odzysku”.

Wracając do kontrahentów Larry’ego: jeden miał na imię David, a drugi Gregor. Obaj byli dobrze po czterdziestce i nosili się jak członkowie jakiegoś ekskluzywnego klubu dla dżentelmenów – zawsze w eleganckich gajkach i w butach za ponad tysiąc baksów. Jeden jeździł maserati quattroporte, a drugi mercedesem SEC. Mieli jacht w Monte Carlo i jakieś przywileje w tamtejszym kasynie – na pewno nie chodziło o darmowe obiady między trzynastą a czternastą.

Ale na siedzibę biznesu z Larrym wybrali Amsterdam – pewnie z powodów logistycznych, bo wszędzie blisko. Poza tym Amsterdam to prestiż nie mniejszy niż Monako. No i jednak miasto z prawdziwego zdarzenia, a nie skansen dla bogatych staruszków, gdzie jedyną atrakcją jest wyścig Formuły 1 raz do roku.

Na czym polegał biznes? Panowie wymyślili sobie, że zarzucą Europę relatywnie tanim szampanem – nie chcieli konkurować z takimi markami jak Krug czy Deutz, ale zaoferować coś o zbliżonej jakości za trzykrotnie niższą cenę. Weszli w układ z jakimś plajtującym producentem szampana i zaproponowali mu, że wpompują w niego masę forsy, a on zagwarantuje im produkcję na bardzo wysokim poziomie. Co do jakości, panowie uznali, że jakość jest taka, jaką się w mówi nabywcom. Jeśli będzie kwaśny, to trzeba krzyknąć, że teraz pije się wyłącznie takie szampany, bo kwaskowatość wynika z ekologii, produkcja przebiega tak jak przed dwustu laty i efekt nie ma prawa być inny. Wiesz, kit zawsze da się wcisnąć, tylko trzeba mieć dobry farmazon. Larry go nie miał, ale od

czego są David i Gregor? Oni doskonale wiedzieli, jak trafić w czuły punkt snobistycznej klienteli, bo sami się z niej wywodzili. I dodatkowo mieli w sobie sporo cynizmu, co akurat było cechą bardzo pożądaną. Oczywiście takie kampanie promocyjne sporo kosztowały, bo trzeba było opłacać media, dziennikarzy i ekspertów, jednak wspólnicy uznali, że nakłady bardzo szybko się zwrócą.

Problem w tym, że się nie zwróciły...

Ta kampania okazała się wentylem, przez który wyciekał hajs, a Larry nie miał na to żadnego wpływu. David i Gregor zapewniali, że bez takiej inwestycji cały plan pójdzie się jebać, więc trzeba zacisnąć zęby i cierpliwie czekać. W końcu zatrybi. A prawda jest taka, że chłopcy postanowili wyruchać Larry'ego – pewnie uznali, że są tak sprytni i tak bezkarni, że wyczyszczą polskiego urkę z hajsu, a potem się rozpląną. Albo i nie rozpląną i będą mu się śmiać w twarz, stojąc na pokładzie pięknego jachtu, a on będzie płakał wielkimi łzami, stojąc na lądzie i patrząc, jak odpływają.

Weszli w układ ze wszystkimi, którzy uczestniczyli w tym torcie, i odzyskiwali co najmniej pięćdziesiąt procent, oczywiście nie informując o niczym Larry'ego.

On już zaczął kumać, że coś jest nie tak, ale nie miał w ręku twardych dowodów. W końcu jednak je dostał, a pomogła, jak zwykle, ludzka chciwość. Zgłosił się do niego facet, który był na działce, a chłopcy się z nim nie rozliczyli. To znaczy coś tam dostał, ale była umowa na większy hajs. Ja ci to mówię w wielkim skrócie, bo cały ten biznes trwał ponad rok, a szampan pod nazwą Prince Victor nawet pojawił się w sprzedaży w kilku krajach. Oczywiście szau nie było, ale parę butelek pewnie zeszło.

Nawet gdyby nie wchodził w grę przekręt, to kokosów na tym biznesie by nie zarobili. Przecież każde dziecko wie, że szampan to towar luksusowy i schodzi mniej więcej tak jak Ferrari na rynku samochodów. Powinni wejść w wódę i rzucić ją na całą Europę. Wiadomo, że wódka jest o wiele bardziej chodliwa, a gdyby jeszcze dać jej jakąś rosyjską nazwę, to poszłaby jak woda. Ale widocznie nie chodziło o zysk. Albo chłopcy nie mieli głowy do interesów. Bo przepuścić hajs jest znacznie łatwiej niż go zarobić.

Biuro firmy było bardzo eleganckie, w starej części Amsterdamu, z widokiem na kanał, rzecz jasna – chłopcy wynajęli całą czteropiętrową kamienicę z poddaszem i urządzili ją tak, jakby sprzedali ciężarówkę brylantów i spodziewali się kolejnego transportu. A to też był bardzo duży koszt.

Larry na to wszystko patrzył, myślał sobie: „Coś tu, kurwa, jest nie tak”, ale zgodnie z zaleceniem zaciskał zęby i cierpliwie czekał.

Aż pojawił się ten gość, który ujawnił mu szczegóły całego przekrętu. Larry przestał cierpliwie czekać, ale pięści zacisnął jeszcze mocniej...

Co nie znaczy, że od razu chciał im pourywać łby – brał pod uwagę, że

mimo wszystko nie robią z niego wała, a nawet jeśli robią, to tylko w takim stopniu, w jakim jest to przyjęte w świecie wielkiego biznesu. Próbował z nimi po dobroci – mówił, że docierają do niego sygnały o jakichś tam nieprawidłowościach, ale oni go zbywali i zapewniali, że wszystko jest w porządku i że już niedługo będzie się kąpał w dolarach. A jeśli ktoś mu gada głupoty, to niech spuści frajera na drzewo, bo podjudzać łatwo, jako że ludzie są łatwowierni, on, Larry, niestety też, a stworzyć coś wielkiego – znacznie trudniej.

Z czasem Larry stracił zimną krew i zaczął dojeżdżać swoich wspólników, grożąc im różnymi nieprzyjemnymi scenariuszami. A oni zachowywali się jak pokerzyści, czyli chłodny wzrok, szklane oko, ale po cichu zaczęli montować odwyrtkę.

I to też dotarło do Larry'ego. Okazało się, że goście szukają cyngla i oferują mu kilkadziesiąt koła papy. Jak na standardy Zachodu suma nieprzesadna, ale na tyle duża, że ktoś wcześniej czy później się zgłosi. Skąd Larry wiedział? Człowieku, światek kryminalny wcale nie jest taki duży, jak sądzisz, i wszelkie informacje rozchodzą się tam w mgnieniu oka. Szczególnie jeśli dwóch amatorów lata po mieście i szuka po omacku cyngla.

Larry musiał być szybszy. Pobiegł do Ruskich i opowiedział im o wszystkim.

SPRZĘT MIAŁ CZEKAĆ W HAMBURGU

Bardzo interesuje mnie temat seryjnych morderców. Czytam o nich wszystko, co mi wpadnie w łapy: artykuły, biografie, a nawet zwykłe kryminały, w których występuje taki zamiatacz. Ted Bundy, Zodiak, Andriej Czikatilo, nawet ten nasz Marchwicki – jak człowiekowi musi się pojechać we łbie, żeby zabijał dla czystej przyjemności? Tak jak ty czy ja idziemy do restauracji zjeść coś dobrego albo szukamy atrakcyjnej laski, żeby ją pouwodzić i w końcu puknąć, oni nie robią nic innego, tylko planują, w jaki sposób zadręczą swoją kolejną ofiarę, spuszcza ją na myśl, jak będzie cierpiała i błagała o litość, a potem jak będą ją kroili na kawałki. To przecież, kurwa, nie są ludzie – to są jakieś śmiecie, które trzeba wywozić za miasto i żywcem palić.

Z drugiej strony, to inteligentni goście – można powiedzieć: inżynierowie zabijania. Bo taki seryjny nie idzie ulicą z łomem i nie napierdala przechodniów po łbach, ale tworzy cały spektakl: od podejścia do ofiary, przez zdobycie jej zaufania i wyprowadzenia w jakieś odludne miejsce, po zadanie takiego cierpienia, jakiego sobie nawet nie jesteś w stanie wyobrazić. A potem musi tak zatrzeć ślady, żeby policji nawet nie przyszło do głowy, że to on jest sprawcą. Co więcej, czasami taki psychol celowo zostawia ślady na miejscu zbrodni, żeby pogrywać z glinami – czasami wyprowadza ich w pole, a czasami wręcz przeciwnie, podpowiada im: „Tu jestem, ruszcie mózgowicami, a może czeka was sukces. Ale wy nie jesteście w stanie rozszyfrować kodów, które podaję wam na talerzu”.

Dla takiego świra nie ma lepszej zabawy niż czytanie o sobie w gazetach – informacje, które podają dziennikarze, są przeważnie tak dalekie od prawdy, że gość czuje się bezpieczny i najzupełniej bezkarny. Bo policjanci szukają jakiegoś wysokiego blondyna w wieku do lat trzydziestu, który prawdopodobnie ma związki ze światem przestępczym, a on w rzeczywistości jest łysiejącym brunetem pod pięćdziesiątkę i nigdy nie zapłacił nawet mandatu za złe parkowanie, a tak w ogóle to wykłada na uniwersytecie.

Inna sprawa, że policja często wysyła do mediów takie mylne tropy, żeby uśpić czujność faceta. Jednak przeważnie naprawdę szukają tego pieprzonego blondyna, który nigdy nie istniał. A tymczasem nasz seryjny siada sobie za biurkiem w swoim gabinecie, wyciąga jakąś starą książkę, na przykład o Kubie Rozpruwaczu, i szuka inspiracji do kolejnego zabójstwa. I może nawet, jebany, pyka fajeczkę i popija koniaczek, jak to inteligent. I morda mu się śmieje na myśl o tym, jak będzie zaciskał garotę na szyi ofiary albo jak będzie jej nożem podrzynał gardło...

Nie mówię, że każdy seryjny zabójca to inteligent – wielu z nich były to jednak prymitywne bestie – ale tacy z wyższej półki też się zdarzali. Bo świr wskakuje do takiego łba, jaki sobie wybierze – raz to będzie troglodyta, a raz

erudyta.

Po co ci to mówię? Po to, żebyś nigdy nie stawiał w jednym szeregu mafijnych cyngli i seryjnych morderców.

Oczywiście, wśród cyngli też trafiają się psychole, którzy czerpią radość z zabijania; z tego, że ofiara błaga o litość, gotowa jest klęczeć i całować zabójcę po nogach, ale to są wyjątki. Jeśli cyngiel czerpie jakąkolwiek satysfakcję, to nie wtedy, kiedy zabija, ale kiedy już jest po wszystkim. Kiedy ma już tę robotę za sobą i może spierdolić z miejsca zbrodni gdzieś daleko. Przeważnie na jakąś metę, gdzie będzie z kumplami chlał na umór. Bo jak odpalisz jakiegoś frajera, to nie idziesz się modlić do kościoła, tylko chcesz jak najszybciej zalać pałę, żeby poprawić sobie humor. Kiedy jesteś trzeźwy, to wiesz, że trup jest trup i zrobiłeś coś, czego generalnie nie powinno się robić. A wódka pomaga ci spojrzeć na to zupełnie inaczej – pojechałeś z kurwą, dobrze jej tak, teraz świat będzie kapkę lepszy. Przynajmniej świat twój i twoich kumpli. No bo, kurwa, zrobiłeś to przecież także dla nich. I dla swojej kobiety, i dla swoich dzieci, i dla miasta. Cokolwiek to miasto znaczy! Trzeba było pojechać z kurwą – innego wyboru nie było. A że akurat to ty zrobiłeś... No to chwała tobie, prawda? Po wódzie łatwo sobie wmówić taką wersję, nawet jeśli czujesz, że jakiś robak wciąż ci siedzi w głowie.

Cyngiel, owszem, musi się dobrze przygotować, nie może odjechać frajera ot tak, z marszu, ale to jest zupełnie inny rodzaj przygotowań. Cyngiel nie planuje każdej chwili, każdego grymasu ofiary, każdego jęku, który z siebie wyda. Nie trzepie pałki, wyobrażając sobie, jak z gościa wali wacha; jak gość powoli przenosi się do innego świata, jak zaciska dłonie, a potem nagle rozprostowuje palce i całe ciało zamiera raz na zawsze. Nie zastanawia się, jaki komunikat dla śledczych zostawi obok trupa – czy wbije mu jeszcze nóż w brzuch, czy obsika mu kapotę.

Cyngiel wie, co ma zrobić, przeważnie wie dlaczego i wie, ile na tym zarobi. Ma zorganizować podejście do frajera i go pstryknąć. Tyle. Tu nie ma żadnej filozofii, żadnej psychologii, żadnej rozkoszy. Jest po prostu wykonane zlecenie.

Dlatego nigdy mi nie mów, że cyngiel to jest ta sama kategoria co seryjny psychol. To są dwie zupełnie inne bajki. To jak górski strumień i ściek – i jeden, i drugi płynie, ale nie chciałbyś się napić ze ścieku.

No, z tym górskim strumieniem to chyba trochę przegiąłem...

Ale Rusczy powiedzieli, że to musi zrobić ktoś od Larry'ego. Czyli wiadomo, że od Korala. Bo w razie wpadki będzie przypał – zawsze ktoś coś zobaczy albo puści parę i wszyscy będą trąbić, że Rusczy wysyłają na Zachód swoich kilerów. Tymczasem chodziło o to, żeby nikt ich z tą sprawą nie wiązał. A jeśli przyjadą chłopcy od Korala, to sorry, ale nikt nie ma prawa ich rozpoznać. Przyjadą, zrobią

swoje i rozpląną się jak we mgle. Oczywiście Ruscy obiecali pomoc, nawet zadeklarowali, że załatwią cynglowi broń. Chodziło o jakiś skuteczny sprzęt, którego pochodzenia nikt nigdy nie ustali. Najlepiej coś rzadkiego, co wskazywałoby na zupełnie innych sprawców.

Larry wrzucił temat Koralowi, a ten odparł, że nie ma sprawy. Chłopcy przyjadą i zrobią co trzeba. Nikt nigdy nie ustali, kto zdjął tych biznesmenów z Monte Carlo. Najłatwiej będzie ich zdjąć w Amsterdamie, w biurze, tylko trzeba będzie poczekać odpowiedniej chwili – muszą być razem i nikogo więcej w pobliżu. Jeśli nie uda się puknąć w biurze, to trochę się za frajerami pojeździ, ale wcześniej czy później właściwy moment nastąpi.

Ruscy obiecali, że broń będzie czekała na cyngli w Hamburgu – prawdopodobnie miała dotrzeć drogą morską, kto wie, może nawet z Medellín? Hamburg był zresztą po drodze z Polski do Holandii, więc pewnie także dlatego wybrano to miasto. Larry miał tu swoich ludzi, którym mógł bezgranicznie ufać – no, może słowo „bezgranicznie” w przypadku mafii nie jest najwłaściwsze. Powiedzmy, że byli dość pewni – i to oni mieli przejąć sprzęt od Ruskich, skitrac go u siebie, a potem go przekazać chłopcom od Korala. Tak więc sygnał do rozpoczęcia akcji miał popłynąć z Hamburga.

Oczywiście nie muszę ci mówić, kogo Koral wyznaczył do tego zadania.

PYTANIE: BÓG GO ZABIŁ CZY ON SAM SIĘ ZABIŁ?

Pamiętam jak dziś – to był 15 lipca, rocznica bitwy pod Grunwaldem... Wezwał mnie Koral i powiedział, że w ciągu dwóch dni muszę być w Hamburgu, bo już dotarł sprzęt i wobec tego zaczynamy akcję odpalenia frajerów z Monako.

Zapytałem, z kim pojedę na robotę, bo przecież nie sam, a Koral poinformował mnie, że z gościem o ksywce Nazista. Znałem człowieka, choć raczej pobieżnie – latał w zupełnie innej grupie, ale dość często robił pstryki dla innych, takie gościnne występy. W sumie dość sympatyczny facet, powiedziałbym wręcz, że ciepły i serdeczny, gdyby nie to, że miał na koncie kilka głów i najwyraźniej nie widział problemu w tym, żeby przyjmować kolejne zlecenia.

No i trochę przemądrzały, ale to był standard w grupie przestępczej.

Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego takiego słodziaka nazwali Nazistą, ale okazało się, że to nie miało nic wspólnego z sympatią dla Hitlera ani Trzeciej Rzeszy. No więc gość często poruszał się rowerem – nie to, żeby nie miał fury, bo oczywiście pod domem trzymał fajną hondę, po prostu uważał, że to dobre dla jego zdrowia. I ktoś kiedyś zobaczył taki obrazek: Nazista (jeszcze wtedy tak na niego nie wołano) jedzie ulicą na rowerze i trzyma rękę uniesioną w nazistowskim pozdrowieniu. Naturalnie facet nikogo nie pozdrawiał, tylko sygnalizował skręt w prawo, ale ci, którzy go widzieli, nie znali się na przepisach drogowych dla rowerzystów i uznali, że zrobił Sieg Heil. Tak dla jaj. No i stąd się wzięła ta ksywka, a Nazista, jako że był chłopakiem o dużym poczuciu humoru, nie miał nic przeciwko temu. Ale kiedy spotykał jakiegoś znajomka, miał zwyczaj salutować, tak po polsku, żeby jednak wszyscy wiedzieli, że nie jest hitlerowcem.

Nigdy wcześniej nie pracowałem z Nazistą i z jednej strony trochę się tego obawiałem, bo to nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do łba, a z drugiej byłem ciekaw, bo jednak facet stanowił prawdziwą legendę. Miałem też nadzieję, że to on weźmie na siebie najważniejszą część zadania, czyli że to on sprzeda pestki tym frajerom, a ja jedynie będę się wyrabiał na asystenta. Nie zależało mi, żeby grać pierwsze skrzypce w tym koncercie.

Zapytałem Korala, niby tak od niechcenia, jakie to kopyto załatwili Ruscy, a on powiedział, że jakieś uzi, ale nie wie dokładnie, czy mini, czy model micro, jednak chyba ten drugi, bo jest mniejszy, łatwiej go ukryć pod kapotą, a pruje tak samo. W magazynku ma dwadzieścia naboí, więc musielibyśmy być ostatnimi patafianami, gdybyśmy nie pojechali z frajerami, mając tyle pestek.

Poza tym mało kto w Polsce posługuje się uzi, więc raczej podejrzenie padnie na grupy przestępcze z zupełnie innej części świata. Na przykład na Kolumbijczyków. Wprawdzie nasza policja też dostała kilkadziesiąt sztuk, ale trafiły jedynie do tych gliniarzy, którzy ochraniaли ambasady. Antyterrorysty woleli sprzęt od Hecklera & Kocha. Generalnie w Polsce uzi jakoś się nie przyjęło.

Wprawdzie nigdy wcześniej nie strzelałem z tego żydowskiego cacka, ba – nawet nie miałem go w ręku, ale wiedziałem, że ma wiele wspólnego z czeskim skorpionem, a tę broń akurat dobrze znałem. Więc nie obawiałem się, że nie rozkminię uzi. Zresztą nawet gdybym ja miał z tym jakieś problemy, Nazista da radę.

Plan był taki: jadę sam do Hamburga i tam spotykam Nazistę. To on będzie na mnie czekał, bo prawdopodobnie już wyjechał do Reichu. Jesteśmy umówieni przy stacji metra Rathaus – to bardzo ruchliwe miejsce, można powiedzieć, że każdy spotyka się tam z każdym, a jednocześnie nikt o nikim nie wie nic – dwa razy dziennie: w samo południe i o osiemnastej. Nie tego dnia, to następnego – do skutku. Teoretycznie moglibyśmy się zdzwonić na komórkę, ale Koral widocznie naoglądał się filmów sensacyjnych i uznał, że musimy przestrzegać wszelkich reguł konspiracji. To znaczy takiej, jakiej nauczył się z filmów. Aż dziwne, że nie wyposażył mnie w jakieś gadżety z Bondów. W sumie miał trochę racji – jakby psy chciały powiązać mnie z Nazistą, to połączenia telefoniczne stanowiły mocny dowód. Albo gdyby nas widziano razem, jak przekraczamy granicę na Odrze.

A tak byłem zwykłym turystą, udającym się na krótki wypad do Niemiec. To samo Nazista, tyle że on wyjechał tam zupełnie niezależnie ode mnie, w innym terminie, inną furą. Dwa byty, które nijak do siebie nie przystają.

Na miejscu mieliśmy ustalić, czyim autem kopniemy się do Amsterdamu. Owszem, było zagrożenie, że ktoś nas razem zobaczy, no ale jakieś ryzyko musiało być. A z drugiej strony kto niby miał nas zobaczyć i czemu miałby się nami interesować? Pamiętaj, to są jeszcze lata dziewięćdziesiąte i nawet w Hamburgu ze świecą szukać kamer ulicznego monitoringu. Już nie mówiąc o autostradach... Ale gdyby psiarnia ustaliła, że jakimś cudem w Amsterdamie znalazł się i mój range rover, i wóz Nazisty, to też mogłoby być podejrzone.

Gdyby chodziło o jakąś krótką robotę w Polsce, pojechalibyśmy zawiniętym autem – po wszystkim porzuciłoby się je gdzieś na poboczu, a może nawet spaliłoby się i koniec pieśni. Ale w przypadku delegacji zagranicznej to było ryzyko. Pomyśl: gdyby przy okazji jakiejś rutynowej kontroli wyszło na jaw, że fura jest trefna, byłby problem jak stąd do Hamburga!

Mówiąc krótko, mieliśmy zrobić wszystko, żeby zatrzeć wszelkie ślady.

W Hamburgu spotkaliśmy się od pierwszego strzału – poszedłem w umówione miejsce, patrzę, a Nazista stoi pod latarnią i jara szluga. Przybiliśmy piątki i poszliśmy do jakiegoś baru na browara. Omawialiśmy szczegóły naszej akcji, choć nie znaliśmy godziny „zero”. To Koral miał dać nam sygnał po telefonie od Larry’ego, że frajerzy są w mieście, razem. Bo musisz wiedzieć, że oni często byli w rozjazdach – jeden w jednym miejscu na świecie, a drugi w drugim.

Jak to biznesmeni. Rzadko kiedy można było ich spotkać razem. A chodziło o to, żeby załatwić sprawę podczas jednego spotkania. Wyobrażasz sobie, co by to było, gdybyśmy stuknęli jednego, a drugi by się dowiedział i zaczął się przed nami ukrywać? Od razu byłoby wiadomo, kto zlecił egzekucję. A jak się ich odpali w pakiecie, to żaden nie pójdzie na skargę. Normalka...

Już przy pierwszym piwie ustaliliśmy, że pojedziemy moim samochodem – gdyby trzeba było uciekać przez jakieś wertepy, rendź poradzi sobie lepiej niż honda. Ale było jasne, że na miejsce – jak to mówią prokuratorzy: zdarzenia – dotrzemy na piechotę, a fura będzie na nas czekała w bezpiecznej odległości.

Przy drugim piwie zamierzałem zapytać Nazistę, jak on sobie wyobraża samą egzekucję – czyli kto pociągnie za spust. Przypominam, mieliśmy jechać z jedną bronią, a nie całym arsenałem, więc nie było opcji, że zrobimy „pulp fiction” i rozprujemy gości z dwóch kominów.

Jakoś mi było niezręcznie o to pytać, ale Nazista sam poruszył temat:

– Słyszałem, że już jeździłeś robić pstryki.

Wzruszyłem ramionami i najchętniej w ogóle bym nie odpowiadał, więc powiedziałem tylko:

– Gdzieś tam jeździłem.

– Ale podobno jakoś nie dopisywało ci szczęście?

– Bo ja wiem? Może właśnie na tym polega moje szczęście.

Uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Pewnie, że lepiej nie zabijać. Ale jeśli masz taki fach, to wstyd ciągle pudłować.

– Nie pudłowałem...

– Pudłowałeś. Nawet jeśli nie zdążyłeś wyciągnąć komina. Nie wykonałeś zlecenia, znaczy spodłowałeś.

– Jakoś mnie to nie martwi.

– A powinno, bo jeśli się czegoś podejmujesz, to musisz zrobić wszystko od A do Z. Jeśli dochodzisz jedynie do F albo nawet do P, to co z ciebie za zawodowiec?

– Wiesz, ja się na cyngla nie prosiłem. Koral mnie w to wpierdala...

– Dziwisz się? Koral chce mieć pewność, że jego ludzie nie są robieni miękkim fiutem i można na nich liczyć w każdej sytuacji.

Nie chciało mi się słuchać wykładu o gangsterskiej etyce zawodowej, więc przerzuciłem piłkę na jego połowę:

– A ty nie masz z tym problemów?

– Niby z czym?

– Z zabijaniem.

– O w mordę, ale pojechałeś. Równie dobrze mógłbyś spytać, czy wierzę w wielką miłość do grobowej deski. Albo czy wierzę w Boga w trzech osobach.

Trudne pytania, no nie? Powiem tak: problem jest zawsze, i to nie tylko przy zabijaniu. Przy rozsznurowywaniu butów, przy wyciąganiu korka z butelki, a jak nie możesz się odlać i pęka ci pęcherz, to już prawdziwy dramat. Życie to bieg z przeszkodami, problemy są zawsze. Pytanie, czy nie za dużo o nich myślisz. Bo im dłużej się nad czymś zastanawiasz, tym bardziej to coś rośnie. I w końcu osiąga rozmiary kolosa. Zabijanie nie jest dobre, ale złe postępowanie też nie jest fajne. Jeśli ktoś nie umie się opanować i tym swoim złym postępowaniem szkodzi innym ludziom, to czasem trzeba mu strzelić w łeb. Obiektywnie rzecz biorąc, to jest paskudne wyjście, ale kto powiedział, że miasto rządzi się szlachetnymi regułami? Zresztą czasami nie chcesz zabić, a jedynie pouczyć, ale z tego pouczenia gość trafia do piachu. No, kurwa, pech.

Przypomniało mi się, że to Nazista wysłał do nieba Świdra – niby-biznesmena z branży mięsnej, który zaczynał karierę od napadów na tiry, a potem stał się specem w wyłudzeniu VAT-u. Na grubo kręcił lody z Donowanem, bossem jednej z grup na zachodzie Polski. Rzecz w tym, że Świder był cholernie nieprzyjemny w obyciu – obrażał wszystkich, szczuł jednego na drugiego, a poza tym cały czas uważał, że Donowan chce go ruchnąć na hajs, i przy każdej okazji pyszczył na jego ludzi i na niego samego. Posuwał się nawet do gróźb, że pójdzie na policję, rozpruje się i wszystko, co wie, poda na papier.

Donowan uznał, że trzeba coś z tym zrobić – fakt, Świder był bardzo cennym współpracownikiem, bo umiał kręcić takie numery, że inni tylko gwizdali z podziwem, ale skoro stał się nieobliczalny, należało mu trochę ostudzić głowę.

Nazista i jeszcze dwóch jego chłopaków zawinęli Świdra z ulicy, zarzucili mu worek na głowę i wywieźli nad jezioro. Sądzieli, że Świder nie zorientował się, kto go uprowadził, bo wszystko stało się bardzo szybko.

Wyrzucili go z auta i solidnie oprawili – połała się krew, pojawiły się siniaki, ale zagrożenia dla życia nie było. Chodziło tylko o to, żeby Świder zgrzeczniał i przestał kłapać japą, bo wszyscy już mieli tego dość. A w mafii tak właśnie wygląda dyscyplinowanie.

Po wszystkim chłopcy wrzucili biznesmena do bagażnika i ruszyli w stronę miasta – mieli nadzieję, że Świder będzie w ciszy analizował to, co się wydarzyło, a potem wróci do domu, wyliże rany i wszyscy zapomną o całej nieprzyjemnej sytuacji.

Ale jak tylko samochód ruszył, Świder zaczął drzeć mordę. Zwyzywał swoich oprawców i – uważaj, bo to najlepsze – kazał im się wieźć na komendę policji. Bo miarka się przebrała i on im pokaże, kto tu rządzi.

Nazista nie wytrzymał – kazał kierowcy zatrzymać samochód i wyskoczył ze środka z bejsbolem w rękę. Otworzył bagażnik i kilka razy jebnął Świdra w łeb. Tym razem gość się zamknął i był cicho aż do końca podróży. Kiedy wyrzucili go pod jego domem na chodnik, Świder nawet się nie poruszył. Chłopcy skumali, że

ich ofiara raczej już nigdy się nie poruszy, więc trzeba szybko z powrotem włożyć zwłoki do fury i jechać do pierwszego lepszego lasu. I tak zrobili – o ile wiem, wrzucili go do jakichś bagien. Na tyle skutecznie, że ciała Świdra nigdy nie odnaleziono, choć były prowadzone poszukiwania.

A przecież nie tak miało być – chodziło tylko o to, żeby Świder lepiej przyswoił reguły gry. Pech, zwykły pech.

Kiedy piliśmy trzecie piwo, Nazista całe to zdarzenie skomentował krótkim stwierdzeniem:

– Ja go nie zabiłem. Nie miałem go zabić, a jedynie trochę sponiewierać. I sponiewierałem. Umarł, bo miał pecha. Pytanie tylko, czy zabił go Bóg, czy on sam się zabił? No, bez winy to on akurat nie był...

Dla mnie najważniejsze było to, że sam zaproponował:

– Jak wolisz, to ja odpalę tych dwóch frajerów. Mnie ręka nie zadrży, a poza tym już kilka razy strzelałem z uzi.

NIE CZAS ŻAŁOWAĆ DYWANÓW

Pojechaliśmy do tych od Larry'ego. Nie tylko po sprzęt – mieliśmy u nich nocować i czekać na sygnał. To było dwóch gości, którzy mieszkali w Hamburgu od połowy lat osiemdziesiątych. Jakoś udało im się wyjechać z PRL-u i zapuścić korzenie – tak jak wielu chłopakom z miasta, którzy tam pobierali swe pierwsze lekcje zorganizowanej gangsterki. Włamy, fury, prochy – przerobili cały ten repertuar i teraz byli grubymi rozgrywającymi. Podobno swoim też nie przepuszczali: jeśli mogli okraść, to było im wszystko jedno, czy frajer jest Niemcem, czy urodził się nad Wisłą. Po mieście krążyła legenda, że obrobili bossa z południowej Polski, który wygrał w kasynie w Hamburgu kilkanaście tysięcy marek. Niósł je w aktówce i nawet się nie spodziewał, że za chwilę zostanie bez hajsu – była noc, on miał lekko w czubie i świat wydawał się piękny. Nie to, żeby te kilkanaście koła stanowiło dla bossa jakieś trafienie życia, ale jednak wygrana, i to dzięki ślepemu losowi, zawsze jest przyjemna. W pewnym momencie podbiegł do niego jakiś młodziak, wyszarpał mu z ręki aktówkę i ukręcił się w boczną uliczkę. Boss próbował go gonić, ale po kilku minutach uznał, że to bez sensu. Nawet mu nie przyszło do głowy, że młodziaka wysłali ludzie, u których mieszkał.

Jeden miał na imię Maciek, a drugi Wiesiek. Na potrzeby rynku niemieckiego posługiwali się ksywkami: Pedro (to Maciek) i Vasco (Wiesiek).

Faktycznie, czekali na nas, zachowywali się bardzo przyzwoicie – naszykowali nam dwa wyrka, dobre żarło i basen whisky. No i uzi, rzecz jasna, a poza tym klucze do amsterdamskiego biura, przysłane przez Larry'ego. Jemu było wszystko jedno, czy piękne salony firmy zamienią się w krwawą jatkę, czy też nie. Jeśli okaże się, że lepiej będzie poczekać na Davida i Gregora w środku, to wejdziemy i tam zrobimy im niespodziankę. Jak to mówią, chuj z dywanami, kiedy płonie cały pałac...

Tymczasem wieczorem przydarzyło się nam coś, w co trudno uwierzyć, a jednak to prawda.

Siedzieliśmy przed telewizorem i suszyliśmy kolejną flaszkę chivasa regala – wiadomo, że jak się spotka kilku chłopca, to albo puszcza sobie pornola, albo mecz, albo coś o furach. Akurat leciał materiał o wyścigu w Monte Carlo – impreza odbyła się pod koniec maja, a teraz był już lipiec, czyli powtórka albo coś w ten deseń. Przez większość czasu oglądaliśmy bolidy – bo niby co innego? – ale w pewnym momencie kamera pokazała jachty w porcie. Zbliżenie na jeden z jachtów i co my widzimy? Widzimy nasze przyszłe ofiary: Davida i Gregora. Bez jaj – naprawdę pokazali tych gości, choć przecież równie dobrze kamerzysta mógł sobie wybrać każdy inny jacht. I każdego innego człowieka. A tymczasem telewizja upodobała sobie właśnie tych dwóch – trzeba przyznać, że ich jacht, zresztą o nazwie „Prince Victor”, był na dużym wypasie, a panowie popijali sobie

szampana. Szczerze wątpię, czy to był ten ich szampan – podejrzewam, że stać ich było na coś znacznie lepszego. Może zresztą zapłacili telewizji za krypciochę swojego produktu? Tego nie można wykluczyć...

Najlepsze było to, że dwa kroki za Davidem i Gregorem stał jakiś ponurak o gębie południowca – nie znam się na tym, więc dla mnie to mógł być równie dobrze Arab, Turek czy Ormianin.

– Widać, że chłopcy zainwestowali w ochroniarza – zaśmiał się Nazista, który także nie miał pojęcia, kim jest ten trzeci gość na jachcie.

– To nie jest żaden ochroniarz – wyjaśnił Pedro, czyli Maciek, i dodał: – To Wowa Zołotyj, szef grupy płatnych zabójców z Kaukazu. Lata dla Ruskich, chociaż sam jest albo z Czeczenii, albo z Azerbejdżanu. Nie chcielibyście go spotkać na ulicy. Ani jego samego, ani jego ludzi. To nie jest gość, który przywiązuje się do sojuszników. Dzisiaj pracuje dla Iksa, a jutro przeskakuje do Igreka i bierze zlecenie na Iksa. A Ruscy między sobą też drą koty, i to o wiele bardziej niż Pruszków z Wołominem. Dla niego liczy się tylko hajs – wie, że jest dobry, ma ludzi praktycznie na całym świecie i może dyktować zaporowe warunki. Kto da więcej, ten wygrywa.

Powiem ci uczciwie – przeszły mi po dupie dreszcze. Skoro wspólnicy Larry’ego dotarli do Zołotego, to znaczy, że nie byli aż tak bezbronni, jak się nam wydawało. I nie byli jak dzieci we mgle – wiedzieli, że ostro pogrywają z Larrym, i mieli świadomość, że może im zafundować odwyrtkę. Więc się zabezpieczyli, a przynajmniej spróbowali. Skoro udało im się zaprosić na jacht tego szefa cyngli, to znaczy, że złożyli mu interesującą ofertę.

No chuj, odwrotu już nie było, ale trzeba było mieć z tyłu głowy, że nie idziemy na łąkę zbierać kwiatki. Bo może się skończyć wążaniem kwiatków – od spodu...

Oczywiście obecność Wowy na jachcie nie musiała mieć nic wspólnego z przekrętami wobec Larry’ego, ale na pewno nie było tak, że panowie lubili Formułę 1 i po prostu oglądali wyścig. Trzeba było zachować ostrożność...

OGON NA AUTOSTRADZIE

Kiedy zadzwonił Koral i rzucił hasło: „jazda po fanty”, ubraliśmy się z Nazistą w gajery i poszliśmy na parking. Uznaliśmy, że w Amsterdamie powinniśmy wyglądać jak biznesmeni – wprawdzie nasze ryje trochę się różniły od tych na amerykańskich filmach, ale bez przesady. Nie każdy rodzi się Alem Pacino. Podejrzewam też, że podświadomie chcieliśmy wyglądać jak Vincent i Jules z *Pulp Fiction* – ostatecznie scena z tego filmu, kiedy chłopcy robią krwawą łaźnię frajerom, którzy chcieli wydymać na kasę ich szefa Marcellusa, mogłaby być dla nas inspiracją. Zresztą ja lubię gajery – odróżniają facetów od leszczy.

Przed sobą mieliśmy grubo ponad czterysta kilometrów, czyli jakieś pięć godzin szybkiej jazdy. Na szczęście w Reichu nigdy nie mieli problemu z autostradami, więc nie musieliśmy się tłuc takimi drogami jak z Augustowa do Białegostoku w latach dziewięćdziesiątych.

Jeszcze w Hamburgu zauważyłem, że cały czas jedzie za nami czarny volkswagen – niby nic w tym nadzwyczajnego, ale jeśli siedzi ci na dupie przez kilkadziesiąt minut, to zaczynasz się zastanawiać, co jest grane. Nic nie mówiłem Naziście, bo nie chciałem, żeby uznał, że się osrałem – i tak nie był o mnie najlepszego zdania. Zresztą początkowo sądziłem, że to moja schiza i zaraz się okaże, że nie mamy żadnego ogona. I faktycznie, mniej więcej w połowie drogi do Bremy, czyli po jakichś sześćdziesięciu kilometrach, czarna furka zniknęła ze wstecznego lusterka. Odetchnąłem, zapodałem radio i przez kilka minut słuchaliśmy jakiegoś niemieckiego disco. Gadaliśmy o dupie Maryni, choć czuć było, że interesuje nas zupełnie inny temat, tyle że celowo go na razie nie poruszamy. O rozwałce jeszcze zdążymy porozmawiać.

Ale potem znowu, tuż przed Bremą, zobaczyłem jakąś furę, która jechała za nami – kiedy skręciłem na stację benzynową w okolicach Osnabrück, ten samochód zrobił to samo. Zaproponowałem Naziście, żebyśmy wypili kawę w barku, i on się zgodził – nie ma jak duża czarna w trakcie dłuższej podróży.

Stojąc przy stoliku z plastikowym kubkiem w ręku, cały czas kątem oka spoglądałem na ciemnozielone audi – dwóch gości w środku gapiło się na nas, jakbyśmy byli jakimś pieprzonym dziełem sztuki. Nie miałem cienia wątpliwości – to był ogon. Pytanie brzmiało: niemieckie psy czy ludzie Zołotego? W tamtym momencie nie byłem pewien, który wariant bym wolał. Owszem, cyngle stanowili o wiele większe zagrożenie, ale skoro ich było dwóch, nas też, i myśmy mieli sprzęt, to kto powiedział, że staliśmy na straconej pozycji?

Poprosiłem Nazistę, żeby oblukał audi, i podzieliłem się z nim swoimi obserwacjami z trasy. Nie wyśmiał mnie – był wręcz oburzony, że wcześniej mu o tym nie powiedziałem.

– Człowieku, jeśli widzisz, że mamy ogon, to musimy się ukrywać, a nie,

kurwa, paradować jak na defiladzie na placu Czerwonym! – Cisnął kubek do kosza na śmiecie.

– Nie byłem pewien, nie chciałem robić z siebie idioty...

– Jak ktoś ma zrobić z siebie idiotę, to zawsze zrobi – odparł filozoficznie i sięgnął po telefon komórkowy.

– Do kogo chcesz dzwonić?

– Do świętej Cecylii – powiedział i po chwili dodał: – Koral musi ustalić, co jest grane.

– Człowieku, co on ci może ustalić? I w jaki sposób? On jest u siebie w domu, a my gdzieś w połowie Reichu. Podasz mu numer rejestracyjny tego audi i on ci raz-dwa ustali, co to za goście? – Teraz to ja poczułem wkurw, ale nie na Nazistę, tylko na całą tę sytuację, w którą Koral mnie wmanewrował.

– Nie wiem, kurwa, nie moja broszka... Niech Koral powie, co robimy.

– Nie twoja broszka? A czyja? Koral ci powie: jedźcie do Amsterdamu, odpalcie tych frajerów i wracajcie ze skalpami.

– Koral jest poukładany z psami. Każdy boss ma swoje wtyczki na policji.

W sumie najbezpieczniej było zostać na tej stacji benzynowej i czekać na cud. Na czym miałyby polegać, nie miałem bladego pojęcia. Wiedziałem jedno – stacja benzynowa jest azylem, w którym raczej nie stanie nam się krzywda. Wychodząc na zewnątrz, będziemy kusić los.

Nazista dodzwonił się do Korala dopiero za którymś razem – widocznie boss pakował na siłce i nie miał czasu na rozmowy ze swoimi ludźmi wysłanymi na dość ważną, bądź co bądź, misję. A może po prostu nie słyszał dzwonka... Tak czy inaczej, panowie pogadali i Koral obiecał skontaktować się ze swoimi ludźmi, którzy mogli coś wiedzieć. Kazał nam siedzieć na stacji, dopóki nie oddzwoni.

Zjedliśmy po kanapce, potem po jeszcze jednej i czekaliśmy. A audi czekało razem z nami, choć do żadnego kontaktu z jego pasażerami, z wyjątkiem wzrokowego, nie doszło.

Siedzieliśmy tak przez dwie godziny, aż wreszcie Koral raczył się odezwać.

Rzucił krótko:

– Wskakujcie do samochodu i wracajcie do Hamburga. A najlepiej bezpośrednio do kraju. Nie zatrzymujcie się nawet na szczanie, macie łać pod siebie.

Nazista chciał dowiedzieć się czegoś więcej, ale boss nie był skłonny do dalszych wyjaśnień. Dodał tylko:

– Nie nasz cyrk, nie nasze małpy. Wycieczka się skończyła, wracajcie. Pogadamy, jak się spotkamy.

Nie ma sprawy – pan płaci, pan decyduje.

Na wacianych nogach wyszliśmy ze stacji benzynowej, przeszliśmy obok audi i wsiedliśmy do mojego rendża. Dojechałem do pierwszego zjazdu, a potem

zawróciłem w stronę Hamburga. Audi oczywiście jechało za nami i gdzieś na wysokości Bremy nagle zniknęło. Potem już towarzyszył nam volkswagen, ale być może to nie byli żadni tajniacy, tylko tak mi się wydawało. Wiesz, wtedy miałem wrażenie, że każdy wóz należy do policji. Albo inaczej – połowa wozów to psy, a druga połowa – ruscy kilerzy. Czasem człowieka dopada taka psychoza, że nie da się z nią nic zrobić. Wchodzi w ciebie jak kleszcz i spróbuj go wyciągnąć!

Był już wieczór, kiedy przekroczyliśmy granicę w Świecku – widząc, że nikt za nami nie jedzie, zatrzymaliśmy się na jakimś leśnym parkingu i odlaliśmy za wszystkie czasy. Nie ma to jak odetchnąć świeżym polskim powietrzem!

Prawda okazała się bardzo prozaiczna – rzeczywiście, mieliśmy na ogonie niemieckich tajniaków z Kriminalamtu i prawdopodobnie mielibyśmy „towarzystwo” także w Holandii. Mieli nas zatrzymać na gorącym uczynku, a być może liczyli też na to, że ich dostrzeżemy i odpuścimy sobie egzekucję. Zresztą nie jestem pewien, jak dokładnie polska policja wtajemniczyła Interpol w szczegóły naszej misji.

Mieliśmy być pod kontrolą, to na pewno.

Mówiłem ci już, że szefowie grup przestępczych zawsze są dobrze poukładani z policją – to wcale nie oznacza, że psy są na usługach gangsterów. Oczywiście, jedni są, inni nie są – najczęściej chodzi o wymianę informacji i grzeczności. Czasami policja przymknie oko na coś drobnego, ale w zamian za to miasto rzuca mundurowym jakiś ochłap, którym jednak można się pochwalić. Na przykład ktoś obrobił kantor – zrobił to na własną rękę i nie oddał działki grupie przestępczej, która kontrolowała teren. Miasto szybko ustalało, kto jest odpowiedzialny za ten skok, i rzucało frajera psom na pożarcie. A w zamian za to mogło liczyć na jakiś cynk o planowanym wjeździe czy coś w ten deseń. Policji nie można mieć tego za złe – nie da się kontrolować półświatka, jeśli nie ma się w nim wtyczek.

Taką wtyczką był choćby Rabin – wspominałem ci o nim. To ten, który był na rozkmince z Grubym. Bardzo ważna postać w grupie Korala, ale jak się potem okazało – sam miał ochotę na przewodnictwo w stadzie. Rabin – o czym dowiedziałem się znacznie później – od dawna współpracował z mundurowymi, jeszcze od czasów PRL, gdy był na uchu Służby Bezpieczeństwa.

I to on podał nas psom jak na tacy, bo oczywiście doskonale wiedział, w jakim celu wybieramy się do Amsterdamu. Gdybym się nie zorientował, że mamy ogon, zostalibyśmy w Holandii zatrzymani i dostalibyśmy natychmiast zarzuty.

Całe szczęście, że Koralowi udało się ustalić, co jest grane. Podejrzewam, że jeszcze wtedy nikt mu nie powiedział, że za policyjną operacją stoją informacje od

Rabina, ale na pewno dano mu do zrozumienia, że ma w grupie wtyczkę. Może nawet ten, kto rozmawiał z Koralem, nie miał świadomości, kto się rozpruł.

Wiesz, bo co innego mieć dobre kontakty z psiarnią i czasami coś jej podzucić, a co innego być wtyką i udupiać własnych kolegów.

Dlatego uważam, że Rabin zachował się nieładnie, czyli jak głupi fiut, choć w sumie jestem mu wdzięczny – ominęło mnie odjebanie dwóch gości w Amsterdamie. A taki wyczyn mógłby mnie bardzo drogo kosztować.

RABIN CHCE ZGARNAĆ CAŁĄ PULĘ

To się tak musiało skończyć... Wszystko zaczęło się sypać – może nie lawinowo, ale systematycznie i nieodwracalnie. Przez całe lata dziewięćdziesiąte uważaliśmy się za nietykalnych i byliśmy pewni, że może być tylko lepiej – że podziemie kryminalne będzie coraz mocniejsze, coraz bogatsze, coraz bardziej wpływowe. W pewnym momencie – mniej więcej w połowie dekady – straciliśmy czujność: wydawało nam się, że psy totalnie sobie odpuściły walkę z nami i nawet pasuje im sytuacja, że w jakimś sensie znajdują się pod nami. Tymczasem oni zaczęli się przygotowywać do wojny – na front skierowali swoich najlepszych ludzi, tworzyli komórki odpowiedzialne za rozbijanie mafii, wsadzili do grup swoje wtyki, przyzwoicie się dozbroili. A my zupełnie nie zdawaliśmy sobie sprawy, że za chwilę już nie będzie tak kolorowo.

Pogrywali coraz ostrzej, a nam się wciąż wydawało, że to tylko popisy małych chłopców, których mama zaraz zawoła do domu i każe im wytrzeć smarki pod nosem.

Na mieście zaroilo się od nieoznakowanych samochodów pezetów – kręcili się koło nas i coraz bardziej dobierali nam się do dupy. Coraz częstsze były wjazdy do domów, aresztowania, likwidacje arsenałów czy fabryczek amfetaminy. Czarni mieli pełne ręce roboty – wciąż wywalali jakieś drzwi i kładli na ziemię kolejnych chłopaków. Coraz rzadziej docierały do nas cynki o wjazdach i w rezultacie ten, kto jeszcze dwa lata wcześniej bez problemu by się ukręcił, tym razem trafiał na dołek.

Kiedy w końcu skumaliśmy, że to nie żarty, było już za późno na skuteczną obronę – psy coraz bardziej przejmowały kontrolę nad miastem.

Zyski cały czas były na dobrym poziomie, bo jednak trudno tak od razu rozbić cały ten gangsterski syndykat, gdzie wszystko działało jak dobrze naoliwiona maszyna, ale zaczęli znikać ci, którzy ją obsługiwali. W ciągu pół roku wystawiło się z Polski kilku chłopaków z naszej grupy i wszystko wskazywało na to, że za chwilę w ich ślady pójdą kolejni.

Ja nie miałem dokąd uciekać, poza tym wciąż wierzyłem, że psy się wyszumią i w końcu odpuszczą. Zresztą mnie jakoś te ich restrykcje nie dotyczyły. Owszem, byłem ciągnany po komendach, składałem wyjaśnienia w różnych sprawach, czasem nawet rzuciłem im jakiś ochłap, którego normalnie nie powinienem rzucić, ale zawsze nocowałem na wolności. Byłem w kręgu zainteresowania policji, to oczywiste, ale nie jako kandydat na aresztowanego, raczej jako osobowe źródło niezbyt ważnych informacji.

W tym gorącym okresie niezbyt często widywałem Korala – boss wprawdzie się nie ukrywał, ale usunął w cień, żeby móc się szybko ukręcić, jeśli zajdzie potrzeba.

Dlatego trochę się zdziwiłem, kiedy zadzwonił do mnie i zaproponował spotkanie. Takie na cito – jeszcze tego samego dnia. Na koniec rozmowy powiedział:

– Ale nie chwal się chłopakom, że masz się ze mną spotkać.

– Jak to? Nie ufasz swoim ludziom? – zapytałem zdziwiony.

– A na jaką cholere mam ufać? Lepiej wiedzieć, co robią, niż ufać. Zresztą nie chodzi tu o zaufanie czy o brak zaufania. Chcę cię poprosić o pewną przysługę i zależy mi, żeby jak najmniej osób o tym wiedziało.

– Czyli jednak nie ufasz? – podsumowałem rozbawiony.

Ciężko westchnął i powiedział:

– Ty to jednak, kurwa, dziecko jesteś. Tak ci zależy, żeby postawić na swoim? Niech ci będzie: nie ufam. I mam swoje powody.

Tego wieczoru kopnąłem się aż pod Poznań, bo tam aktualnie przebywał Koral. Nie wiem, u kogo się zadekował – spotkaliśmy się w pensjonacie w leśnej okolicy Puszczykowa.

Uściskaliśmy się, jak to gangusy, zjedliśmy dobry obiad i zamówiliśmy butelkę łychy – ja wypilem jedynie symbolicznie, bo jeszcze tego samego dnia miałem wrócić do domu, a obawiałem się, że w obecnej sytuacji drogówka nie przytknie oczu na ewentualne promile. Zresztą ja nigdy nie lubiłem prowadzić po pijanemu, choć wielu chłopaków z naszej ekipy nawet nie siadało za kierownicę na trzeźwo.

Koral natomiast wypił sporo. Już kiedy przyjechałem, był lekko wstawiony i zachowywał się z typowo alkoholową serdecznością. Poklepywał mnie cały czas po plecach, obejmował i powtarzał:

– Czerwony, brachu, ja kurwom nie ufam, ale ty nie jesteś kurwa. Ty jesteś sztywny i ja tobie wierzę.

No i właśnie to zaufanie do mojej osoby sprawiło, że boss zlecił mi kolejną mokrą robotę, wtajemniczając mnie w szczegóły aktualnego konfliktu na gangsterskim szczycie.

Z jego długiego przemówienia zapamiętałem mniej więcej tyle:

– Czerwony, tylko mnie zawdzięczasz, że cię psy nie zawięły w Reichu. Albo w Holandii. Ty już byłeś centralnie wystawiony i gdybyś tylko wyciągnął komin, żeby odjechać tych dwóch frajerów, leżałbyś na ziemi i robił pod siebie. Na szczęście jeszcze ma się te znajomości...

Nie skomentowałem tego, bo moja interpretacja tamtych zdarzeń była trochę inna: to Koral mnie wysłał na robotę, więc gdyby stało mi się jakieś kuku, to byłaby jego wina, więc niepotrzebnie robił z siebie mojego anioła stróża. I gdybyśmy wtedy nie zadzwonili do niego ze stacji benzynowej, on w ogóle nie wiedziałby, że mamy ogon i że zaraz mogą nas zhaltować. Ale nie przerywałem, bo interesowało mnie jedynie to, czego teraz chce ode mnie. Kontynuował:

– Wystawiła cię ta kurwa Rabin. Oczywiście on ma na ciebie wyjebane, tak samo na tych leszczy z Amsterdamu. On poluje na mnie, chce zająć moje miejsce w grupie i przejąć moje interesy. Jemu działka już nie wystarczy. On chce zgarnąć całą pulę. Wymyślił sobie, że psy mu w tym pomogą, bo przecież lojalnie z nimi współpracuje już od lat. Plan jest taki: wystawia im mnie, a prokurator doklepuje mi nie tylko przywództwo w grupie, ale i zlecenie głów. Ciebie by przycisnęli i ty byś podał na papier, że kazałem ci jednego czy drugiego odpalić. I nawet jeśli tobie się to nie udało, to łatwo mnie wtedy wmanewrować w inne zabójstwa, również te, z którymi nie miałem nic wspólnego. Bo skoro jeden z moich cyngli pruje się na mnie... Tak czy inaczej, miałbym duży problem, dostałbym sankcję i nieprędko bym wylazł z chliwa. W tym czasie Rabin przejąłby grupę. Grupę i hajs. A na to nie możemy mu pozwolić. Pamiętaj, że Rabin ma swoich ludzi i to oni będą dzielili tort. Ty im nie będziesz potrzebny nawet w charakterze listka figowego do zastonienia jajec. Jak się zaczniesz pultać, dostaniesz pestkę. Jak się nie będziesz pultał, sprzedadzą cię psom.

Nie byłem pewien, czy wersja Korala – zwłaszcza ta część dotycząca mojej przyszłości – miała pokrycie w faktach i intencjach Rabina, ale przyznam, że nie miałem głowy do kalkulowania. Przyjmijmy, że ja również uważałem Rabina za zagrożenie dla moich interesów, ale czy byłem zachwycony perspektywą strzelenia mu w łeb? Ani tak, ani nie – chyba przeczuwałem, że już zawsze będę kilerem niespełnionym. Takim, który strzela, a Pan Bóg wypieprza jego kule na śmietnik. Albo wręcz takim, który wcale nie strzela i pan Bóg nie musi interweniować.

Gdy usłyszałem, że muszę odjechać Rabina, pokiwałem głową i tylko zapytałem jak i kiedy.

A Korala na to:

– Wszystkiego się dowiesz w swoim czasie, niedługo. I to od osoby, której ufam. A jak wiesz, mało komu ufam.

WYGLĄDAŁA JAK MODELKA

Wylądowałem w łóżku z Jowitką. W końcu! Poszło łatwiej, niż sądziłem. Tak naprawdę to ona sama zaproponowała, żebyśmy jeszcze raz pojechali do tego pensjonatu nad jeziorem, gdzie już raz byliśmy. Czułem, że może wyniknąć z tego coś fajnego, ale pewności nie miałem – trudno było uwierzyć, że to ona jest stroną inicjatywną. A jednak! Początkowo sądziłem, że dziewczyna ma jakiś problem i chce mnie poprosić o pomoc – może jakiemuś byłemu kochasiowi trzeba nos przestawić, może ktoś ją dojeżdża za długi, może potrzebuje tańszego koku? Jak to śpiewał piosenkarz: „Bo z dziewczynami nigdy nie wie, oj nie wie się”.

W każdym razie skoro zadzwoniła i powiedziała, że posmakował jej drink w tym pensjonacie, to ja od razu zaproponowałem, żebyśmy sprawdzili, czy dalej robią takie dobre drinki. A może są jeszcze lepsze.

Wieczorem podjechałem pod jej blok, zabrałem ją z parkingu i ruszyliśmy przed siebie. Wyglądała nieziemsko. Nie to, żeby zrobiła się na wampa, bo to nie było w jej stylu, ale ubrała się jak na jakieś eleganckie przyjęcie – kiecka w kolorze wiśniowym, ale taka obcisła, że doskonale podkreślała jej figurę, czerwone buty na wysokim obcasie, trochę złota na rękach i na szyi. Makijaż niezbyt mocny, ale dający po oczach... No, powiem ci, prawdziwe bóstwo. Nawet zapytałem, czemu się tak wysztafirowała, na co ona:

– Skoro jadę do eleganckiego hotelu, eleganckim samochodem i z eleganckim mężczyzną, to muszę się wpisać w klimat.

Jakoś szczególnie elegancki nie byłem – tradycyjnie: czarna skóra, T-shirt Bossa, džinsy i czarne mokasyny z frędzlami, ale widocznie uznała, że w takiej wersji nie prezentuję się najgorzej.

Przyjechaliśmy do pensjonatu i od razu poszliśmy do baru. Kiedy wypła pierwszego drinka, zaczęła się do mnie kleić. Ale nie nachalnie jak jakaś kurwa – delikatnie, z wycuciem chwili, zupełnie jakby była moją dziewczyną. Szczęśliwą dziewczyną w ramionach swojego szczęśliwego mężczyzny. Pocałowałem ją w usta, tak na próbę, żeby wy badać sprawę, a ona chwyciła mnie za głowę, przyssała się do mnie i poczułem jej język w moich ustach. Kiedy kobieta tak się całuje, to daje sygnał, że zaraz nastąpi ciąg dalszy. Bo ona bardzo tego chce. Byle tylko nie spieprzyć sytuacji – trzeba dawać jej to, czego oczekuje, a nie odstawić kabaret. Gdybym nagle odsunął się od niej, zapalił fajka, zaczął jej pierdolić o tym, że moja fura za dużo pali i muszę ją oddać do elektryka, żeby mi przestawił mapę silnika, mógłbym się zapewne pożegnać z bzykaniem.

Dlatego zaproponowałem coś, co wydawało mi się najodpowiedniejsze w danym momencie – wypijemy zimnego szampana w pokoju hotelowym. Będzie romantycznie i relaksowo. A czy coś się więcej wydarzy, zobaczymy. Ona mi poświęci trochę uwagi, ja jej się odwdzięczę czułością i może z tego wyniknąć coś pięknego. W tamtym momencie już zupełnie nie zastanawiałem się nad tym, dlaczego Jowitka przejęła inicjatywę. W sumie to nie było istotne, ja chciałem tylko jednego i to coś zbliżało się wielkimi krokami.

Wynająłem apartament dla nowożeńców – recepcjonistka sama go zaproponowała, zapewniając, że nie będziemy żałować. W sumie od innych pokoi różnił się głównie jakimiś duperelami, figurkami aniołków, koronkowymi firankami i baldachimem nad łóżem. Jeśli chodzi o szampana, to mieli tylko jakieś słodkawe wino musujące – inna rzecz, że skasowali za nie jak za Dom Pérignona. To chyba była cena ustalona na szybko – zorientowali się, że mają do czynienia z napaloną parą i facet będzie gotów wyskoczyć z każdego hajsu, byle tylko zaimponować partnerce. W sumie mieli rację.

Wypiliśmy po kieliszku i rzuciliśmy się na łóżko z takim impetem, że aż materac zafalował. Zrzuciłem z siebie ubranie, a potem zacząłem się dobierać do

jej sukienki. Ale że była bardzo obcisła, ściągnięcie jej szło mi kapkę niezdarnie. Poza tym długie włosy ciągle spadały na suwak na plecach i nie mogłem sobie z nim poradzić.

Jowita, widząc, że na tym odcinku mogą być problemy, sama wyskoczyła z sukienki i została w bieliźnie. No i butach... Oniemiałem na jej widok – wiedziałem, że jest cholernie atrakcyjną dziewczyną, ale teraz wyglądała jak modelka z reklamy jakiegoś Triumphu czy innego Intimissimi.

Aż żal było ściągać z niej biustonosz czy figi, bo kręciła mnie w tej bieliźnie bardziej niż naga. No ale w pewnych sytuacjach majteczki są utrudnieniem, więc trzeba się było ich pozbyć. Natomiast odpuściłem sobie szarpaczkę ze stanikiem – podniecał mnie i nawet nie miałem ochoty oglądać jej piersi. To znaczy miałem ochotę, ale w dalszej części meczu. Nie na samym początku. Jezu, jakie ona miała ciało! Niby większość dziewczyn, które się przy nas kręciły, wyglądała jak z „Playboya” wycięte, ale Jowita nigdy nie kojarzyła mi się z cudownie zbudowanym wampem. Dlatego jej skóra zrobiła na mnie podwójne wrażenie – bo się takich delicji nie spodziewałem.

Kochaliśmy się jak szaleni – to znaczy ja naprawdę straciłem głowę, a ona... może tylko dobrze grała. Albo faktycznie była ze mną szczęśliwa, przynajmniej przez tych kilka godzin.

Gdy leżeliśmy na łóżku, odpoczywając po trudach nocy – zaczynało już świtać – przeszła do tego, z czym przyszła.

– Koral chce, żebyś zastrzelił Rabina.

Aha, czyli to ona była tą zaufaną osobą, o której wspomniał mi Koral?

– Wiem, sam mi o tym powiedział. – Czar nocy prysł w ciągu kilku sekund. Z jej strony to nie było uczucie, tylko zwykły biznes. Spełniała polecenie służbowe, które wydał jej szef.

Znów dostałem Jowitkę na zachętę. Czyżby była nagrodą bossa dla cyngli? Zapowiedzią czyjejś śmierci, znieczuleniem dla tego, który tę śmierć przynosi?

– W sumie chce, żebyśmy to zrobili razem...

Oniemiałem – czegoś takiego nie mogłem się spodziewać! Jak to, mamy zabić Rabina razem? We dwójkę pójść ze sprzętem na egzekucję? Czyżby Koral uznał, że ja sam nie jestem w stanie nikogo odjechać i potrzebne mi jest wsparcie? I to jeszcze ze strony Jowitki? Naprawdę taki dobry z niej strzelec? Patrzyłem na nią zdumiony i nie przychodziło mi do głowy żadne sensowne pytanie, które byłoby formułą bardziej skomplikowaną niż „jak to?”.

Wyczuła moje zdumienie i dodała:

– Tak naprawdę to ty go zabijesz, ja ci go jedynie wyprowadzę na strzał.

Nadal nic nie rozumiałem i gapiłem się na nią jak ciele na malowane wrota. Wtedy wyjaśniła mi, na czym polega plan. Postara się umówić z Rabinem na kolację w jakiejś dobrej knajpie – nie było żadną tajemnicą, że facet od dawna miał

na nią chrapkę, tym bardziej że „należała do Korala” i bzyknięcie jej oznaczało wkroczenie na terytorium bossa. Oczywiście Rabina można było odpalić przy byle okazji, ale był doświadczonym gangusem i czuł pismo nosem – wiedział, że zaczęło się polowanie i musi być ostrożny. Przy Jowitce zapewne straci tę czujność – faceci często myślą nie głową, tylko tym, co dynda pomiędzy nogami.

Teraz piłka była po stronie Jowitki – będzie musiała się jakoś pokręcić przy Rabinie i dać mu się zaprosić do jakiejś restauracji na uboczu. Albo nawet w innym mieście. Tak, najlepiej w zupełnie innym miejscu, żeby tę głowę przyklepać jakiejś innej grupie. A ja miałem czekać na sygnał.

Kiedy opuszczaliśmy pensjonat, czułem się trochę upokorzony – ostatecznie znowu zabawiłem się z ładną laską tylko dlatego, że ktoś jej kazał, a mnie na to pozwolił.

Kiedy podjeżdżaliśmy pod jej blok, zapytałem:

– A gdyby Koral ci nie kazał, poszłabyś ze mną do łóżka?

Spojrzała na mnie jak na nierozgarnięte dziecko i uśmiechnęła się.

– Tego nigdy się nie wie... – Po czym odwróciła się i poszła sobie.

Wzruszyłem ramionami – ostatecznie co za różnica, czy bzykała się ze mną z własnej, czy z cudzej woli? Najważniejsze, że robiła to jak mistrzyni!

PRAWDA JEST TAKA, JAKĄ OGŁOSI SĄD

Irzeczywiście, jakoś tak się jej udało zakręcić Rabinem, że kopnął się za nią aż do Gdańska. To znaczy ona dowiedziała się, że gościu ma tam jakieś interesy, więc celowo podsunęła mu ten pomysł, a on to kupił na pniu. Pewnie pomyślał, że upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu: spotka się ze swoimi kumplami – nawiasem mówiąc, to była jakaś grupa skonfliktowana z sierotami po Nikosiu – a potem ruchnie sobie Jowitkę.

A jakim cudem w ogóle się z nim spiknęła, to nie wiem, nie rozmawiałem z nią o tym, ale podejrzewam, że podeszła go w jakimś nocnym klubie. Przecież nie na kółku różańcowym! Pokręciła się przy nim, uśmiechnęła, wsunęła jakiś farmazon, na który lecą faceci o ego wyjebanym do nieba, może coś tam zasugerowała, a on już był ugotowany.

Zaprosił ją „Pod Łososia”, czyli pojechał na grubo, bo w tamtym czasie to była jedna z najlepszych knajp w Gdańsku. Elegancja pierwszej klasy, tyle że ceny z kosmosu. Ale nie dla Rabina, który zawsze srał hajsem, a jako że chciał się popisać przed Jowitką, nie zamierzał się ograniczać.

Do Gdańska pojechali razem – Rabin zapakował ją do swojego merola i bajerował po drodze, starając się wybadać grunt: będzie dymanie czy tylko rozmowa o dupie Maryni? On miał tam coś załatwić, więc podrzucił ją pod jakąś galerię handlową, żeby sobie pooglądała kiecki. Oczywiście zapewnił, że jak coś jej wpadnie w oko, on chętnie jej to coś sfinansuje. Powiedział, że wróci w ciągu trzech, czterech godzin i wtedy pójdą na jakąś dobrą kolację. A potem się zobaczy...

Naturalnie był pewien, że wszystko pójdzie po jego myśli, i dzień wcześniej zamówił pokój w sopockim „Grandzie” – w czasach PRL-u grywał w nielegalnych kasynach, które tam organizowano, więc miał sentyment do tego miejsca. Wierzył też, że jak tylko Jowitka przekroczy próg tego luksusu, od razu zrobi się mokra i nie będzie się stawiała.

Ale wszystko miało się potoczyć ździebko inaczej...

Zanim Jowitka pojechała do Gdańska, spotkała się ze mną i przekazała mi broń od Korala. Jakaś beretta i dwa magazynki. Wystarczający sprzęt, żeby wysłać Rabina kilka razy do nieba i z powrotem.

Miałem wyjechać na Wybrzeże tuż po nich i czekać na sygnał od Jowity. Sygnał, że już są w restauracji, a potem że za chwilę będą wychodzić. Czyli dwa esemesy. Jeden o treści „tak”, a drugi „teraz”. Po pierwsze chodziło o to, żeby nie wypisywać długich, skomplikowanych komunikatów, a po drugie żeby nie wynikało z nich, że ktoś komuś kogoś wystawiał.

Po przyjeździe do Gdańska zaparkowałem na Targu Drzewnym, jakieś pięćset metrów od „Pod Łososiem”. Wprawdzie byłem swoim rendzem, ale

zmieniłem blachy na białostockie. Tak na wszelki wypadek.

Udawałem, że czytam gazetę, żeby nikt nie widział mojej gęby. W sumie gapiłem się w płachtę papieru przez kilka godzin i w pewnym momencie poczułem, że dostaję świra. Dodatkowo coraz bardziej cisnęło mi na pęcherz, a nie chciałem prowokować służb miejskich, lejąc gdzieś na placu. Owszem, było już po pierwszym esemesie, czyli wiedziałem, że cel jest w restauracji, ale przecież on tam mógł siedzieć jeszcze kilka godzin i bajerować Jowitkę opowieściami na swój temat.

Tak więc siedziałem w furze i kwitłem, licząc na to, że zaraz dostanę tego drugiego esemesa – ostatecznie Rabinowi też powinno się spieszyć. W sumie lepiej dmuchać fajną dziewczynę, niż zajadać z nią rybę i farmazonić. Powiem ci – chciałem go jak najszybciej odjechać, ale wyłącznie z tego powodu, że potem już będę mógł się odpryskać. Taką miałem motywację! Wiem, że to brzmi absurdalnie, ale ten, kto nie mógł się odlać przez kilka godzin – a przecież każdemu to się zdarza – rozumie mój punkt widzenia.

Na szczęście Rabin zgodnie z moimi przewidywaniami nie zamierzał sprawdzać całej oferty gastronomicznej lokalu i po niespełna dwóch godzinach był już gotów do wyjścia. Gdy dostałem esemesa o treści „teraz”, zapomniałem o problemach fizjologicznych i skoncentrowałem się na zadaniu.

Przeładowałem broń i pobiegłem na ulicę Szeroką – było już ciemno, więc nikt nie zwracał na mnie uwagi. Okolice „Pod Łososiem” to dobra lokalizacja dla kiltera – łatwo się ukręcić w bocznych uliczkach, a najlepiej pobiec do Bramy Szerokiej i potem spierdolić Pobrżeżem wzdłuż Motławy. W ostateczności można nawet wskoczyć do wody.

Zdażyłem w ostatnim momencie – Rabin trzymał w objęciach Jowitkę i zmierzał z nią do merola, którego zaparkował tuż pod Bramą. Coś tam do niej gadał rozbawionym głosem, a ona kiwała głową i rozglądała się na boki. On wiedział, że za chwilę będzie ją ruchał, a ona wiedziała, że on za chwilę będzie leżał, ale nie w łóżku, tylko na chodniku. I już sobie więcej nie porucha. Chyba że ja zawiodę...

Spojrzała za siebie, dostrzegła mnie i nagle wyrwała się z objęć Rabina. Ten szybko zorientował się, że coś jest nie halo, i natychmiast sięgnął do kieszeni – byłem pewien, że za chwilę wyciągnie kopyto, więc nie bacząc na to, że wokół kręciło się trochę ludzi, zacząłem strzelać.

Pamiętasz mój sen, który ci opowiedziałem? Że gonię gościa, którego mam odpalić, ale nie mogę wydobyć komina z kieszeni...

Myślę, że ten sen ma związek z tym, co się stało wtedy w Gdańsku. Owszem, wiele rzeczy w tym śnie było inaczej niż w rzeczywistości – sprzęt miałem w ręku, i to nie żadnego lugera P08, tylko berettę, i cały czas waliłem do Rabina. Ale on, choć potykał się i padał, za każdym razem wstawał, zupełnie jakby

pestki nie robiły na nim wrażenia. I biegł przed siebie w stronę bramy. Przechodnie uciekali w podskokach w boczne uliczki, a ja coraz mniej rozumiałem, co jest grane. Ale robiłem, co mogłem, żeby wykonać zadanie.

Pamiętasz, że w moim śnie w gościa uderza ciężarówka? Czyli że ktoś zrobił robotę za mnie?

I tak też się stało – gdy Rabin przebiegł przez Bramę i skręcił w lewo, usłyszałem dwa strzały. Podbiegłem i zobaczyłem ciało leżące pod latarnią – ktoś zrobił to, czego ja, po raz kolejny, nie dałem rady dokonać.

W moim śnie facet po uderzeniu przez ciężarówkę znowu wstaje i daje w długą. Ale Rabin już się nie podniósł. Nie zastanawiałem się nad tym, kto i dlaczego odstrzelił tego gościa. Chciałem jak najszybciej zniknąć z miejsca zbrodni. Wróciłem na Szeroką, gdzie wciąż stała Jowitka, chwyciłem ją za rękę i pobiegliśmy do samochodu. Dwie godziny później zatrzymaliśmy się w Toruniu – wynajęliśmy pokój w jakimś hotelu dla tirowców i bez zbędnych ceregieli wskoczyliśmy do łóżka. Kochaliśmy się jak szaleni – wtedy jeszcze nie wiedziałem, że egzekucja, choćby udana tylko w połowie, to tak silny afrodyzjak. Chyba oboje potrzebowaliśmy zrzucić z siebie napięcie, które trudno wytłumaczyć komuś, kto nigdy nie strzelał do drugiego człowieka; kto nie brał udziału w spisku na jego życie.

Gdy leżeliśmy obok siebie wycieńczeni zwierzęcym seksem, przytuliła się do mnie i wyznała, co tak naprawdę się stało. Nie chciała, żebym miał na koncie głowę, więc dała mi klamkę ze ślepymi pestkami. Robiły wprawdzie wielki huk, ale nie były w stanie uszkodzić Rabina. A ja tego wcześniej nie sprawdziłem – uznałem, że skoro sprzęt pochodzi z pewnego źródła, to wszystko jest jak należy.

Rabina zabił człowiek, którego tożsamości Jowita nie chciała mi zdradzić, zresztą aż tak bardzo nie dopytywałem. Tak samo jak nie chciałem wiedzieć, jak go do tego przekonała... To był ktoś, kogo znała od dawna i kto znacznie skuteczniej wysyłał ludzi do nieba. Wiedziała, że dla niej podejmie się tej misji.

W Toruniu powiedziała mi tylko:

– Nie jesteś zabójcą. Nie ma powodu, żebyś nim kiedykolwiek został...

No i wykrakała – nigdy więcej nie dostałem już podobnego zlecenia. Zresztą zaraz potem grupa zaczęła się sypać, psy zatrzymały większość chłopaków z ekipy, z Koralem na czele. Nic mu nie pomogło to, że był zblatowany z kilkoma mundurowymi. Ich zresztą też szybko zawinięto.

Jowitka nie czekała na rozwój wydarzeń, pewnie uważała, że za znajomość z chłopcami z miasta może zapłacić jakąś cenę – po prostu wyjechała z kraju, do kuzynki w Szwajcarii. Podobno znalazła tam jakiegoś faceta i się z nim chajtnęła. Na pewno dobrze się jej powodzi, bo nie po to się jedzie do Szwajcarii, żeby klepać biedę. Po tym, jak ją odwozłem do domu po akcji z Rabinem, nigdy więcej jej już nie widziałem.

Cyngla, który zastrzelił Rabina, nigdy nie odnaleziono, ale też nikt nie połączył mnie z tą sprawą. Ktoś widział moment egzekucji, a opis sprawcy zupełnie do mnie nie pasował i szukano kogoś innego, w innym środowisku. Nawet mnie do tej sprawy nie słuchano...

A wiesz, za co dostałem wyrok? Za udział w grupie, jasne, ale też za... podżeganie do zabójstwa. Artykuły 18. i 148. kodeksu karnego. Przyznasz, że to komiczne, bo to nie ja namawiałem innych do zabijania, odwrotnie – sam byłem do tego zmuszany. A to, że mi się ani razu nie udało... Uważam, że powinienem dostać nagrodę od ministra sprawiedliwości, a nie wyrok skazujący.

Było tak. Przyszedł do mnie kiedyś Iks i powiedział, że musi odjechać Igreka, bo Igrek mu bruździ. Nieważne, o co dokładnie chodziło i kim był ten Iks. Po prostu mi się zwierzył, jak to kumpel kumpłowi.

A ja mu na to:

– Jak ci bruździ, to go odjeb, co mi do tego?

Bo co niby miałem mu odpowiedzieć? Nie zabijaj, nie łam piątego przykazania, miłuj nieprzyjaciół swoich, jak cię ktoś uderzy w jeden policzek, nadstaw mu drugi?

W grupie przestępczej zawsze ktoś kogoś zabija – niekoniecznie naprawdę, przeważnie w deklaracjach. Dziennie zapadają dziesiątki wyroków, ale rzadko który jest wykonany. Szczególnie po wódzie – wtedy to każdy by każdego odjechał; każdy jest kozak i nie ma litości dla kurew. I kiedy pada hasło: „Trzeba pojechać z frajerem”, odpowiedź może być tylko jedna: „Jedziemy”.

A potem stukamy się kieliszkami i pijemy za zdrowie przyszłego nieboszczyka.

W każdym razie kiedy Iks powiedział mi o swoich zamiarach wobec Igreka, w ogóle się nie zastanawiałem nad tym, czy dojdzie do egzekucji. To było jak strącenie muchy z ręki – była, poleciała, nie ma tematu.

Tylko że Igrek jednak poszedł do piachu... Okazało się, że Iks był naprawdę zdeterminowany. I wiesz, co zeznał w czasie procesu? Że to ja go do tego nakłaniałem, że powiedziałem mu: „Odjeb Igreka”.

Dwóch świadków zeznało, że byli przy tej rozmowie i że faktycznie padły takie słowa. Co jest oczywiście nieprawdą, bo rozmawialiśmy w cztery oczy i nikogo razem z nami nie było.

Ale w wymiarze sprawiedliwości nie liczy się to, jaka jest prawda, tylko to, jaką prawdę ogłosi sąd. A sąd ogłosił, że podżegałem...

Dobrze, że nie skazał mnie za zabójstwa, których nie popełniłem.

A tak w ogóle to nie wiem, kiedy jest dobrze, a kiedy jest źle. Jest śmiesznie – i to wiem na pewno!

Na Artoma jest zlecenie. Ktoś musi mende odje...!

Na Ruskiego nie można dać zlecenia innemu Ruskiemu (choć zrobiliby to z sanitarną precyzją, po cichu i bez świadków), bo wiadomo – swój swego nie ruszy. Albo ruszy i będą z tego kłopoty...

Dlatego trzeba wybrać naszego. Najlepiej takiego, koło którego psy w ogóle nie będą węszyć.

Artur Górski, autor głośnych, bestsellerowych wywiadów z pruszkowskim gangsterem MASĄ, po raz kolejny wprowadza nas w brudny, brutalny świat polskich gangsterów.

Czerwony, początkujący egzekutor działający na zlecenie mafijnego podziemia, ma zdjąć publicznie rezydenta rosyjskiej mafii. Tyle tylko, że to jego pierwsza fucha, nigdy wcześniej nie zabił człowieka...

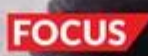
Jakim cudem został więc cynglem mafii, kto go zwerbował do wykonania egzekucji i zaplanował morderstwo?

I czy jedyną osobą, która może mu pomóc, wesprzeć go bądź ocalić, jest Jowita – niepozorna, zniewalająco piękna i niesamowicie sprytna dziewczyna?

W tej powieści opartej na faktach zobaczycie, jak z frajera zrobić kilerą i za jakie pieniądze pracuje w Polsce egzekutor, zrozumiecie, dlaczego wiele planowanych egzekucji kończy się fiaskiem bądź krwawą jatką oraz jaką rolę w mafijnym światku odgrywają kobiety.

Poczuj emocje towarzyszące człowiekowi, który na zlecenie ma zabić innego człowieka.

Patroni medialni:



KSIAZKA DOSTEPNA
TEZ JAKO E-BOOK



Zamówienia

www.burda.pl

tel. +48 22 360 37 77

[facebook.com/burdakslazki](https://www.facebook.com/burdakslazki)

Zeskanuj kod
i pobierz
darmową
próbę książki



